Nr. 19. 30 h. = 25 fen.

SZERLOK HOLMES

TYGODNIK KRYMINALNY.

Kraków,
dnia 9 października 1909.

Wychodzi w każdą sobotę.

Z treści:

Głodomór Ricardo Sacco i synowie Shiwy.



Indyanie powlekli głodomora ze skrępowanemi rękami i nogami. Naprożno spodziewał się Sacco pomocy Szerloka Holmesa.

Przedruk wzbroniony.
Prenumerata kwartalna (13 numerów) wraz z przesyłką pocztową kor. 3·60, mk. 3·60, rs. 2·—.

Szerlok Holmes

Tygodnik kryminalny.
Redakcya i Administracya: ul. Zielona 7.

Prawo przekładu na inne języki zastrzeżone.
Cena numeru pojedynczego 30 hal., 25 fen., 15 kop.
Wychodzi w każdą sobotę.

Nr. 19. Kraków, dnia 9 października 1909. Nr. 19.

ZE ŚWIATA.

Zagadkowy napis.

W miejscowości Avernier, w szwajcarskim kantonie Neuvchâtel umieścił pewien właściciel hotelu na domu swoim olbrzymiemi literami następujący napis, przypominający zagadkowością swoją coś jak stare pismo runiczne.

Napis ten tak wyglądał:

Garage
uoᴉʇɐʇS-sǝuɐldoɹǝ∀

Dolny napis szyldu jest dla zwyczajnego śmiertelnika, chodzącego po tym padole łez i płaczu, nie łatwym do odcyfrowania.

Ale te słowa nie są też przeznaczone dla zwyczajnych ludzi, by zatrzymać tych, którzy pieszo, konno lub nawet w automobilu przejeżdżają. Przeciwnie — są one dostępne tylko „wyższym regionom“, dla ludzi nie tyle wysoko położonych, ile wysoko latających, a mianowicie dla tych, którzy na wzór ptaków szybują na mono — i biplanach różnych systemów. Napis dolny czytany z góry daje nam najwyraźniej następujące słowa:

„Aéroplanes-Station“.

Czy pomysłowy hotelarz ma liczną klientelę z napowietrznych gości — milczą na razie o tem kroniki. Czy jednak wkrótce miał ich nie będzie — nie można o tem jeszcze absolutnie wyrokować.

Cztery miesiące za jeden pocałunek.

W Konstancyi na zabawie wziął udział także pewien parobek Emil Schuster, w przebraniu klowna. W podochoconym zabawą i trunkami stanie wyszedł na ulicę, by się trochę ochłodzić i — na nieszczęście swoje spotkał jakąś damę z lepszej sfery, którą przemocą uściskał i pocałował w usta.

Na terminie sądzony wypierał się zarzuconego mu czynu, świadkowie atoli potwierdzili fakt, gdyż pan Emil był na tyle nieostrożny, że publicznie chwalił się przed nimi owym zrabowanym pocałunkiem, jako dowodem swego „szczęścia do kobiet“.

Sąd skazał go na 4 miesiące więzienia, z czego pokazuje się wbrew filozofii kupletowej, że „całus do razy trzech, to nie jest żaden grzech“ — że w Konstancyi nawet jednorazowy całus trzeba stosunkowo dość drogo opłacać.

Mordercy pod nożem gilotyny.

W francuskiem miasteczku Valence-sur-Rhone odbyła się kilka dni temu o godzinie 6 rano egzekucya trzech krwiożerczych morderców, którzy pod nazwiskiem „Chauffeurs de Drome“ byli w całej Francyi znani. Byli to trzej bandyci: Berruves, David i Liotard, którzy w departamencie Drome spełnili 10 morderstw i 3 usiłowane mieli na sumieniu.

Na placu egzekucyjnym, przed i po wykonaniu wyroku, rozgrywały się wstrętne, nerwy wstrząsające sceny.

Niezliczone tłumy z Valence i okolicy obległy plac stracenia, na którym utrzymywali porządek strzelcy, kawalerya, a nawet częściowo zarekwirowana — artylerya.

Trzej skazańcy spodziewali się jeszcze w przed dzień ułaskawienia, śpiewali ustawicznie i grali w karty.

Przez cały dzień napływały pociągami koei

i końmi niezliczone tłumy ciekawych, by być świadkami egzekucyi. Wieczorem przypuszczano formalny szturm do więzienia skazańców, których krzykami i śpiewem zbudzono ze snu.

Domyślili się teraz, że ostatnia ich godzina się zbliża. Obrońcy delinkwentów, a nawet sędziowie przysięgli poczynili wszystkie kroki u prezydenta republiki, by wyjednać im ułaskawienie. Ale komisya ułaskawiająca pozostawiła bez skutku prośbę, ze względu na straszne czyny, jakich dopuszczała się ta łotrowska trójka.

Napływ publiczności na miejsce stracenia był tak olbrzymi, że za pojedyncze okno w pobliżu więzienia płacono bajeczne sumy, dochodzące do wysokości 500 franków.

Tłumy śpiewały, hałasowały i piły i cała Walencya robiła wrażenie, jakgdyby była w przededniu jakiejś świetnej uroczystości.

I w istocie egzekucyę przyjęła z wielkiem zadowoleniem ludność, teroryzowana przez szereg lat przez tych bandytów.

Mehmed Tschakidschi, bandyta ze Smyrny.

Mehmed Muchtor Bey, nowy jenerał-gubernator Smyrny, wyznaczył niezwykłą sumę, bo 1000 tureckich funtów (20.000 koron) jako nagrodę za dostawienie żywym lub umarłym groźnego herszta rozbójniczej bandy, niejakiego Tschakidschi. Na głowę jego podwładnego, nazwiskiem Tököly, wyznaczono 4000 koron.

Równocześnie wyruszyły 2 kolumny wojska po 200 ludzi i górskie armaty na połów niebezpiecznego zbrodniarza.

Bandyta, dla którego rząd przygotowuje taką specyalną owacyę, jest od wielu lat postrachem wilajetu smyrneńskiego i zarazem nieograniczonym panem tego dzikiego górskiego terenu. Zabezpieczony był rozlicznemi kryjówkami górskiemi, chroniony przez ludność tameczną, która częściowo bała się go, częściowo uznawała za jakiegoś półboga, broniącego ich przed pijawkami prawdziwemi, przed urzędnikami Abdul-Hamida.

Jego banda, składająca się z 200 ludzi, drwiła sobie ze wszystkich władz i karnych ekspedycyi Jego Sułtańskiej Mości.

Jeszcze na rok przed rewolucyą była potęga Tschakidschisa tak wielką, że Abdul-Hamid wydał ówczesnemu wallemu Smyrny bezprzykładny w dziejach rozkaz, by z rozbójnikiem „pokój“ zawarł! I istotnie „pokój“ taki zawarto z nim przy zachochowaniu całego wschodniego ceremoniału, w obecności władz, duchowieństwa, zarznięciem pewnej ilości bydła, przysięgami wieczystemi etc.

W zamian za miesięczną pensyę 500 fr. i rozległe dobra zobowiązał się bandyta żyć spokojnie.

Rewolucya — jak mu się zdawało — rozwiązała go z przysięgi. Zebrał napowrót swoją bandę i dopiero gdy spełnił cały szereg najstraszliwszych zbrodni, zdecydował się rząd turecki wysłać do jego dóbr 30 żandarmów, celem uśmierzenia bandyty.

Ale ten, uwiadomiony na czas przez swych przyjaciół, wysłał przyjaciela swojego Tököly'ego do powstrzymania z bronią w ręku nadciągających żandarmów.

Zasadzka udała się. Od pierwszych strzałów poległ major Rustan Bey i 4 oficerów, resztę wyłapali bandyci i dla pośmiewiska odarłszy ich z szat — puścili ich całkiem nago na wolność. Tego już było za dużo i miara czary została przepełniona. Rozbójnik ten, który ma na sumieniu przeszło 150 ofiar, nie wymknie się prawdopodobnie tym razem z rąk obławy.

Tajemniczy człowiek w masce.

W pospiesznym pociągu, zdążającym z Berlina do Kolonii, wskoczył na jednej ze stacyi zamaskowany jakiś człowiek do coupée II. klasy. Widząc, że pasażerowie zaalarmowali maszynistę za pomocą liny sygnałowej — wyskoczył, gdy pociąg dojeżdżał do najbliższej stacyi i zniknął w ciemnościach nocy.

Pasażerowie, znajdujący się wówczas w tym przedziale, uwiadomili naczelnika stacyi o zajściu. Dochodzenie jednak, wszczęte w tym kierunku, nie dało żadnego pozytywnego rezultatu, gdyż wskutek krótkiego postoju na stacyi, nie mógł naczelnik nawet należycie przesłuchać świadków.

Podobno człowiek w masce wsiadł do wagonu w Berlinie na szląskim dworcu i to nie z peronu lecz z przeciwległej strony. Nie jest wykluczonem, że ma się tu do czynienia z waryatem, gdyż trudno przypuścić, ażeby bandyta chciał się dopuścić rabunku bezpośrednio przed stacyą.

Z cyklu przygód Szerloka Holmesa.

GŁODOMÓR RICARDO SACCO I SYNOWIE SHIWY.

ROZDZIAŁ I.

Głodomór w niebezpieczeństwie.

Na morzem domów i murów śpiącego Londynu jaśniało niebo milionami gwiazd.

W mało ożywionej dzielnicy Surard Street widzimy Szerloka Holmesa, zmierzającego w towarzystwie Harry Taxona i jeszcze jednego pana, w kierunku swego domu na Baker Street.

— A więc pan sądzisz, panie Sacco — rzekł Holmes, wkładając rękę do kieszeni od spodni — sądzisz pan, że byłbym w stanie wykryć pańskich wrogów, pomimo tego, że pan nie masz na nikogo podejrzenia i ogółem, zdaniem pańskiem brak jest wszelkich poszlak i śladów?

— Mam zupełne zaufanie od pana — odpowiedział znany artysta w głodzeniu się, zwracając swą interesującą bladą twarz do mówiącego. — Jeżeli pan nie spełnisz mej prośby, to wtedy ustała cała moja nadzieja!

— Pańskie zaufanie cieszy mnie bardzo — zaśmiał się Szerlok Holmes nieco sarkastycznie — Ale proszę pana! W jakiż sposób znajdę ślady rzekomej zbrodni, jeżeli pan nie jesteś w stanie nic więcej podać na to, że pańskie „życie jest zagrożone“?

Nastąpiła mała pauza.

Artysta nerwowo głaskał swoją piękną, troskliwie pielęgnowaną brodę.

Gdy nie dawał żadnej odpowiedzi, mówił Szerlok Holmes dalej:

— Rzućmy okiem na sytuacyę. Dostajesz pan niedawno temu engagememt — jak nazywało się to przedsiębiorstwo? — zapytał nagle.

— Etablissement Hengler — odparł Sacco.

— Zapisz tę firmę, Harry! — zawołał mistrz do swego famulusa, poczem Harry pozostał nieco w tyle i zanotował w portfellu nazwisko przy mdłem świetle latarni.

— A więc na krótko przed pańskim występem miały się układy rozbić, ponieważ przedsiębiorca otrzymał propozycyę od innego głodomora, który obiecywał więcej senzacyjne produkcye, niż pan, panie Sacco. Wobec tego, że pan posiadasz ustaloną sławę, podczas, gdy konkurent pański jest jest jeszcze nieznaną gwiazdą na horyzoncie głodomorstwa — oferta pańska została przyjęta, a jego odrzucona... Oto cały prolog!

— Ale nie mający nic wspólnego z właściwą sprawą! — wtrącił Ricardo Sacco.

— Kto wie! — odpowiedział detektyw — idźmy dalej! Podczas przygotowań do pańskiej klauzury, zauważyłeś pan, że woda selterska, którą zwykłeś się pan pokrzepiać podczas postu, że woda selterska, powiadam, ma dziwnie nieprzyjemny smak, który sprowadził panu nudności. Badanie chemiczne wykazało, że woda była zatruta. Nikt — jak pan twierdzisz — nie ma w tem interesu, by cię życia pozbawić!... Ale powiedz no pan, czy nie masz czasem podejrzenia na pańskiego konkurenta, którego śmierć twoja usunęłaby z drogi niebezpiecznego a silnego rywala?

Inteligentna twarz artysty przybrała wyraz zdziwienia.

Ta myśl nie przyszła mi do głowy — odpowiedział.

— Kto to był ten człowiek?

— Nie wiem, nie znam go! Ubiegał się tylko pisemnie o engagement! — brzmiała odpowiedź.

Tymczasem przyszli pod dom Holmesa.

— Chodź pan do mnie na chwilę, na szklankę herbaty! — zaprosił go detektyw uprzejmie.

Artysta odmówił grzecznie.

— Jutro rozpoczynam moje engagement — usprawiedliwiał się, a potem dodał prosząco:

— Nie opuszczaj mnie, panie Holmes!

Detektyw obiecał zająć się jego sprawą.

— A więc pan występujesz u Henglera?

— Yes!

— Gdzie pan mieszka?

— Hotel Cannon-Street, przy ulicy tejże nazwy.

— Pięknie! Harry! urzęduj!

Famulus zanotował obydwa adresy, podczas, gdy Szerlok Holmes otwierał bramę.

Potem podali obaj rękę głodomorowi.

— Good night, Mr. Sacco! Do miłego zobaczenia! — pożegnali się z tym oryginalnym artystą.

Machnąwszy z fantazyą swoją laseczką poszedł głodomór swoją drogą,

— — — — — — — — — — —

Na bramie teatru rozmaitości Henglera, wspaniałego, luksusowo urządzonego nowożytnego przybytku zabawy na St. Martin Lane — przylepione były sążniste plakaty tej treści:

Zagadka medycyny XX. wieku!

RICARDO SACCO

głodzi się 47 dni i 47 nocy!

Pości począwszy od środy 28 kwietnia aż do czwartku 15 czerwca

w teatrze Henglera.

Dzień i noc otwarte.

Nieprzejrzane tłumy publiczności ciągnęły w kierunku „etablissement", a pośród niej znalazł się i typowy dżentelman angielski — wielki detektyw świata — Szerlok Holmes.

— Po raz pierwszy zdarza mi się sposobność zobaczenia zawodowego głodomora w jego szklannej klatce — rzekł Harry, pchając się do kasy za swoim mistrzem.

— Pilnuj dobrze kieszeni! — przestrzegał go Holmes zamiast odpowiedzi — tu jest żniwo dla złodziei kieszonkowych!

Potem znaleźli się przy okienku, gdzie urzędował kasyer z czerwoną jak rak twarzą.

— Dwa bilety na dzisiejsze przedstawienie!— rzekł detektyw.

— Czy panowie życzą sobie kartę na cały czas trwania eksperymentu? – zapytał stereotypowo kasyer; pytanie, z jakiem zwracał się do wszystkich, odwiedzających teatr.

Detektyw powtórzył pierwsze swe żądanie, zapłacił, otrzymał bilety i udał się z Harrym do sali, w której odbywało się przedstawienie.

Na tylnym planie sali znajdowala się estrada z ruchomą sceną zasłonioną na razie grubą materyalną zasłoną koloru ciemno-fioletowego.

Powoli zapełniał się teatr wesołą, elegancką publicznością, która z naprężeniem oczekiwała na produkcye mające się na scenie ukazać. Słychać było szmer głosów, suwanie stołkami i szuranie nóg, a wreszcie jasny dźwięk dzwonu dał znak, że przedstawienie się zaczyna.

Orkiestra zagrała kilka wesołych, hucznych utworów — i kurtyna się rozsunęła.

Na scenę wystąpiła rasowa piękna dziewczyna w kostyumie szansonistki w ekscentrycznym kapeluszu, krótkiej spódniczce i z laską spacerową w ręku.

Wykręciwszy się kilka razy przed publicznością zaśpiewała sławną swojego czasu piosenkę o „Żołnierzu z ciasta".

Pierwszy numer nagrodzony został burzą oklasków, a śpiewaczka musiała z proscenium kilkakrotnie dziękować publiczności.

Po zapadnięciu kurtyny ozwał się wkrótce po raz drugi dzwonek.

Ukazała się młoda dziewczyna z rozpuszczonemi blond włosami, podobnemi do złota, co nadawało jej postaci wprost bajecznego wyglądu. Blado zielona lekka suknia ukazywała raczej niż zakrywała bujne jej wdzięki.

Oczy miała zamknięte, a głowę lekko w tył odrzuconą.

Z rękami przed siebie wyciągnionemi przeszła na środek sceny.

Tancerka tańcząca przez sen!

Dopiero po paru chwilach rozpoczęła śpiewać senną a smutną melodyę, poruszając się do rytmu. Bengalski ogień oblewał z za kulis śpiewaczkę powodzią blado-fioletowego światła.

Klasyczne pozy i jakiś nadziemski smutny wdzięk towarzyszyły tym produkcyom. Kilka nastrojowych akordów zakończyło tę scenę.

Potem ukazała się na estradzie smukła, wiotka kobieta w czarnej sukni zapiętej aż pod samą chudą szyję i sięgającą aż do stóp. Na rękach cienkich jak źdźbła miała długie czarne rękawiczki à la Sara Bernhardt. Czarne włosy zaczesane na uszy, twarz blada i palące oczy.

Można było powiedzieć o niej, że jest kompletnie brzydką, bo i rysy twarzy były grube i ordynarne. Miała jednak w całej swojej istocie coś tak demoniczno-nastrojowego, że wrażeniu jej oprzeć się nie było można. Gdy zaś zaczęła nucić a raczej mówić w takt muzyki swoje „chansons“, zmieniała się cała jej istota. Pochylona postać prostowała się, zimne, smutne oczy nabierały wyrazistości i blasku, drewniany i bezdźwięczny jej głos zdobywał się na metaliczne tony i dźwięki, o niezwykłej sile i ekspresyi. Niepospolita inteligencya i geniusz przeistoczyły tą smutną, złamaną pozornie kobietę na groźne uosobienie satyry, zjadliwości i ironii, to na symbol bezbrzeżnego smutku, to na furyę zemsty lub rozpaczy.

Produkcyami swemi terroryzowała po prostu umysły widzów.

Nic dziwnego! Była to sławna recytatorka, śpiewaczka tłumów Yvetta Guilbert, opiewająca nędzę i upadek klas upośledzonych, krzywdy i niesprawiedliwości zadawane wydziedziczonym — w jej piosence dźwięczał ból bezdomnego i pozbawionego pracy robotnika i jęk bolesny upadłej kobiety i ciche kwilenie głodnego dziecka.

Muzyka akompaniowała dyskretnie słowom wielkiej artystki, a ona mówiła przyciszonym smętnym głosem:

„Raz na poddaszu student żył —
Czy znacie życie studenta?
Nie dużo jadł, a wiele pił
I bałamucił dziewczęta.

Żył w kamienicy stary stróż,
Czy znacie wy życie stróża?
Codzień omiatał z schodów kurz
I jak ten pies strzegł podwórza.

Miał student kilka starych ksiąg,
I do nauki dwie czaszki,
A kiedy książkę puścił z rąk —
Stroił wesołe igraszki.

Szesnasty rok skończyła już
Powabna córeczka stróża,
Nie mógł pilnować córki stróż,
Bo już pilnował podwórza.

Student do dziewcząt szczęście miał,
Sama mu padła w objęcia,
Nie zdziwi się, kto kiedy znał,
Serce młodego dziewczęcia!

Student ukończył nauk czas,
Raz jeszcze zaszedł w podwórko,
Pewnego dnia, wieczorem raz
Znikł razem ze stróża córką.

Poszła z nim w świat, a była już
Dziewczyna ładna i duża,
Nie mógł pilnować córki stróż,
Bo już pilnował podwórza.

O córce stróża zginął ślad
Taki to los dziewcząt w mieście,
A student w kilkanaście lat
Dostał katedrę nareście.

W sali wykładów wielki ruch —
Sławny profesor wszechnicy
Dziś demonstruje z czaszek dwóch:
Pijaka i ladacznicy.

Drewniany głos, jak przykry skrzyp
Rozlega się od stolika —
„On zwyrodniały, pyszny typ
Idyoty, alkoholika!“

„Ona — jak świadczy o tem ślad
Tutaj, na czaszce tej z boku,
Żyła w upadku szereg lat
Życie skończyła w rynsztoku.

— — — — — — — —
— — — — — — — —

I na podstawie własnych ksiąg
Nie wiedząc czem się posłuża,
Kolejno czaszki brał do rąk
To swej kochanki, to stróża!“

Dysonans w orkiestrze zakończył śpiewną deklamacyę wielkiej artystki.

Miękko i smutno wyrzekła ostatnie słowa drżącym głosem jakby przez łzy zdławionym.

Rozentuzyazmowana publiczność biła brawo. — Nastąpiła dłuższa pauza.

Potem przyszła kolej na atrakcyjny „numer“ programu.

Po raz trzeci rozsunęła się kurtyna.

Ujrzano na scenie wielkę szklanną klatkę, której szyby tkwiły w drewnianych ramach.

Środek obszernej klatki był bardzo elegancko urządzonym pokoikiem. Przed biurkiem założonem książkami, papierami i przyborami do pisania stał wygodny fotel.

Jedną stronę klatki zajmował szeroki szezlong przykryty pstrym perskim dywanem.

Na bocznym stoliku stała baterya flaszek z mineralnemi wodami i duże pudełko z cygarami. Kilka innych mebli uzupełniało umeblowania.

Wązkie drzwi prowadzące do szklannej klatki były otwarte.

Szybkimi krokami wszedł głodomór Sacco na scenę, kłaniając się dookoła publiczności.

Brawa i okrzyki powitały głośnego człowieka.

Podziękował z uśmiechem i następnie zwrócił się do publiczności z następującą przemową:

„Szanowna Publiczności!

Mam zamiar 47 dni głodzić się i proszę uprzejmie o przekonanie się, że to, co mówię i czynię, jest czystą niesfałszowaną prawdą!

Dla tego wzywam państwo uprzejmie, proszę przekonać się osobiście o prawdziwości słów moich.

Wzywam was moi panowie, byście raczyli przyjść tu na scenę i wnętrze urządzenia mojej klatki jak najdokładniej zbadać. A mianowicie, czy butelki te zawierają istotnie wody mineralne, czy nie ma tu co ukrytego i wreszcie proszę o przechowanie u którego z panów tego kluczyka do mojej klatki. Proszę dokładnie przeszukać moją siedzibę, czy nie ma w niej zapasów żywności!“

Niektórzy z publiczności spełnili życzenie głodomora, na ich czele Szerlok Holmes i Harry Takson powitani przez głodomora silnem „shakehand!“

Zamieniwszy z przyjaciółmi swymi słów kilka, wstąpił Sacco do swego dobrowolnie obranego więzienia.

Drzwi klatki zamknięto, rygle zostały zasunięte z wewnątrz i w obecności wszystkich świadków opieczętowano drzwi najskrupulatniej, a jeden z mężów zaufania otrzymał pieczątkę potrzebną do późniejszej kontroli.

Potem wszyscy opuścili scenę, z wyjątkiem Holmesa i Taksona, którzy przez szklanne drzwi przesyłali artyście ręką pozdrowienia.

Ten napisał coś szybko na skrawku papieru i przylepił takowy na szybie.

— „Pamiętaj pan o swem przyrzeczeniu i nie zapomnij o mnie!“ — przeczytał Holmes. Wydarł z notesu kawałek papieru i napisał odpowiedź:

„Nerez — — — Dobrego głodu!“

Gdy publiczność zaczęła zabierać się do domu i noc rozpostarła swe szerokie, czarne skrzydła nad Londynem, siedział głodomor sam zagłębiony przy biurku pisaniem.

Otaczała go grobowa cisza.

Długo leżał mistrz Sacco w swojem więzieniu rozmyślając o Szerloku Holmesie i przyszłej jego karyerze.

Ale w tej chwili dały się słyszeć stłumione szeptania i jakieś cienie przesuwały się w lustrzanych szybach. Trzech ludzi zbliżyło się do człowieka zamkniętego w szklannej skrzyni. Zaczęli następnie manipulować przy zamku. Wszystko to trwało zaledwie kilka sekund.

Drzwi się otworzyły!

Co zamierzali ci ludzie? Czego szukali tu po nocy?

Skokiem pantery wskoczyli do klatki, gdzie spał głodomór, rzucili się na śpiącego i zanim zdołał się obudzić, był już spętany i skneblowany.

Bliski omdlenia słyszał tylko szeptem wymówione te słowa:

— A teraz prędko! Usuńmy go, ale ostrożnie!

Odpowiedź udzielona była w języku, którego Sacco nie rozumiał.

Skrępowanego jak pakunek, wynieśli go z sali.

ROZDZIAŁ II.

Tajemnicze morderstwo w instytucie Imperial.

— Stangret! Wolniej jechać! — zabrzmiał rozkazujący głos z powozu, jadącego raźnym truchtem przez wspaniały w swej wiosennej szacie Hyde-Park.

— A teraz obejrzyj się Kilty! — zwrócił się

mówiący, okazały, przystojny mężczyzna do swej złotowłosej towarzyszki, opartej niedbale o poduszki powozu. — Jedziemy teraz obok stawu Serpentyn, do instytutu Imperial. Jesteśmy u celu! A więc bądź trochę cierpliwszą i ciesz się z tego, że spędzimy kilka godzin w towarzystwie ludzi rozumnych i bardzo miłych. Drut be angry, my dearling! (nie gniewaj się mój skarbie!) że uparłem się na to, ale dzisiejszy wieczór zapowiada nam się na prawdę bardzo sympatycznie!

— Wolałabym wieczór ten spędzić razem z tobą w naszym domu! — odrzekła, zwracając jasne swe oczy na mężczyznę.

— I dlaczegóż to dzisiaj właśnie? — zapytał śmiejąc się.

— Nie mogę się pozbyć przykrej myśli, dręczącej mnie od samego rana. Mam przeczucie jakiegoś nieszczęścia! — odparła wstrząsnąwszy się kobieta.

— Przesądy! brednie! — żartował jej towarzysz.

Nie trzeba było zbytniej bystrości umysłu, by poznać, że młoda para była małżeństwem. Świadczyły o tem dowodnie złote obrączki ślubne na ich palcach.

Mr. Hope, zajmujący wybitne stanowisko w rządowej administracyi w Indyach — ujrzał światło dzienne nad Gangesem, ale był synem obywatela i urzędnika angielskiego. Utrzymywał ścisłe stosunki z indyjskimi uczonymi i studentami uniwersytetu.

Teraz właśnie pospieszył na zebranie hindusów, mające sie odbyć w instytucie Imperial.

Zajechali wreszcie na miejsce. Wchód do instytutu przybrany był wspaniale kwiatami i festonami i oświetlony tysiącem płomieni elektrycznych.

Członkowie Narodowego Związku Indyan byli już zgromadzeni, po największej części ubrani w przepysznych, barwnych wschodnich szatach, bogato usianych drogimi kamieniami.

Zjawienie młodej pary było nader przyjaźnie powitane. Panie otoczyły piękną miss Hape, a jeden z hindusów, piękny, wysoki mężczyzna, o rozumnych, ciemnych oczach i brunatnej cerze, ujął pod rękę pana Hape i poprowadził go do stolika, gdzie na niskim szezlongu zajęli miejsce.

— Gdzie byłeś pan wczoraj? - zapytał Mr. Hape, rozpoczynając dyskurs.

Hindus zaśmiał się.

— Nie zgadniesz pan — odpowiedział.

— Czy to coś tak tajemniczego?! — żartował Mr. Hape — Może byłeś pan w Harun al Raszyda, słynnego czarnoksiężnika, albo wstąpiłeś do podziemi po zakryte skarby?

— Przynajmniej! — zaśmiał się młody indyjski lekarz. — Widzę, że pan nie zgadniesz. muszę więc panu sam powiedzieć!

A więc poszedłem, by zobaczyć słynnego głodomora Sacco, produkującego się obecnie!

Anglik zrobił zdziwioną minę.

— No, na to nie przyszedłbym rzeczywiście! — odrzekł — Czy pan się tak bardzo interesujesz podobnemi produkcyami?

— Tak jest! przyznaję otwarcie! W mojej pięknej ojczyźnie obudzali zawsze podziw fakirzy i jako dziecko jeszcze imponowali mi swoją niezmierzoną wiedzą. To, co robi Sacco, jest w rezultacie to samo, a w każdym razie zbliża się do sztuki uprawianej przez naszych kapłanów.

— Jak długo zamierza głodzić się Sacco? — zapytał Mr. Hape.

— Przeszło jeden i pół miesiąca! — brzmiała odpowiedź.

— Do dyabła! Ładny post! Nie rozumiem jak człowiek może doprowadzić do czegoś podobnego!

— Wprawa! Poprostu odzwyczaił się stopniowo od jedzenia, a nerwy żołądkowe odurza nikotyną, przynajmniej wypala w tym czasie moc papierosów!

— Very interesting indeed! — zsuważył Anglik — ale a propos papierosów? Możebyśmy zapalili?

Z uśmiechem zgodził się hindus i wziął jeden z wybornych papierosy, ofiarowanych mu w srebrnej porte-cigar przyjaciela.

Indyjski lekarz dr. Malasca wskazał oczyma na różnorodny tłum w sali.

— Miły widok — rzekł — gdy Anglicy i Indyanie w takiej zgodzie i harmonii obcują ze sobą!

— Na mnie robi to braterstwo zawsze wrażenie komedyi — odpowiedział Anglik.

— Czy chcesz pan przez to powiedzieć, że wrzenie w Indyach napełnia pana obawą? — zapytał drugi z zajęciem.

Mr. Hape wzruszył ramionami.

Przecież nie można zaprzeczyć, że większa część krajowców nie życzy sobie niczego tak gorąco, jak oswobodzenia ojczyzny od Anglików!

— Tak jest! Ale czy to nie jest objawem na-

turalnym — i bądźmy sprawiedliwi — usprawiedliwionym poniekąd?

— Co do pierwszego — tak! Co do drugiego mam pewne wątpliwości!

Tłum otaczał ich szumiącą, barwną falą, lecz oni byli zbyt zatopieni w rozmowie, by zwracać na cokolwiek uwagę.

Jakiś młody człowiek w niebieskim turbanie i w zwykłem anglezowem ubraniu, zbliżył się do dwóch przyjaciół.

Skromny, prawie ubogi strój jego odbijał rażąco od świetnego zebrania. Zdawało się, że chce nawiązać rozmowę z obydwoma panami. Stanąwszy przy nich zawahał się przez chwilę, jakby namyślając się, czy nie przeszkodzi im w czemkolwiek i stanął wreszcie ukryty za olbrzymim wazonem z majoliki, nadsłuchując ich rozmowę.

— Wiesz mi, dear indian friend and brother! — mówił Anglik dalej — że prawa ani pan ani jego ziomkowie nie macie wcale! i jest utopią na podstawie tego dziwnego przez was samych wymyślonego prawa — rościć sobie jakieś pretensye do niepodległości. Jest jedno hasło, jedna zasada polityki angielskiej: „Musisz zjeść nieprzyjaciela, jeżeli nie chcesz, by nieprzyjaciel nie zjadł ciebie!“ Słowa te zawierają wielką życiową prawdę, którą podzielam w zupełności, co się tyczy moich politycznych przekonań!

Indyanin uśmiechnął się gorzko. Czoło mu poczerwieniało, gdy opanowując wybuch — odpowiedział spokojnie:

— Wyznajesz pan zatem teorye Darwina?

— W zupełności! — brzmiała stanowcza odpowiedź.

— Chcesz pan utrzymywać, że Indye nie mają prawa do samodzielnego życia, ponieważ — ponieważ — —

— Ponieważ Indye są słabszym żywiołem w walce z nami! Wielka Brytania ma wszelką słuszność za sobą, opanowawszy Indye — ma za sobą prawo silniejszego, prawo pięści!

Zaledwie dopowiedział tych słów, gdy rozległ się strzał.

Wśród szarego dymu, wznoszącego się za wielkim wazonem, widniała blada bez zarostu twarz młodego hindusa w niebieskim turbanie. W ręku trzymał jeszcze rewolwer.

Z strasznym krzykiem zerwał się Alfred Hape i rzucił przed siebie ramionami, a potem upadł na kanapę z twarzą krwią zalaną.

Dr. Malasca poskoczył naprzód, by schwycić zbrodniarza — wtedy rozległ się drugi strzał.

Trafiony w samo serce, zwalił się na ziemię młody doktór.

Powstała nie do opisania panika.

Tłum zebrał się w jednej chwili nad zwłokami zabitych.

Wszyscy krzyczeli i zasypywali się wzajemnie pytaniami.

Wołano lekarzy, wody, służby...

Zbrodniarz, korzystając zamieszania, umknął.

Lekarz, który znalazł się tam przypadkowo, zajął się zbadaniem stanu Anglika. Klęcząc przy zwłokach na ziemi wyczuwał tętno jego serca i palców.

— Umarł! — rzekł spokojnym głosem.

Dr. Malasca leżał twarzą zwrócony do podłogi. Lekarz obrócił go i obejrzał martwe ciało.

Wysmukła, piękna i młoda kobieta, schyliła się z niejaką ciekawością nad skrwawionym trupem.

— Miał być jeszcze bardzo młodym — rzekła wzruszonym głosem — pood man! pood man!

Nagle krzyknęła i zerwała się z ziemi.

— For godness sake! To mój mąż!

Krzyk jej rozbił się echem po olbrzymiej sali.

Przerażeni stali uczestnicy uroczystości, zamienionej nagle na jakieś żałobne zebranie.

Lekarz usiłował delikatnie usunąć ze sali nieszczęśliwą wdowę.

Broniła się rozpaczliwie.

Krzyczała jak szalona i odepchnąwszy lekarza, wołała łkając spazmatycznie:

— O! Alfredzie! Alfredzie!... Dlaczegóż nie zostałam z tobą?!...

ROZDZIAŁ III.

Nocna przygoda.

Ciemną, wąską uliczką w pobliżu Bakerstred szedł Szerlok Holmes z Harry Taksonem, zdążając do domowych penatów.

Noc była ciemna, a nieliczne tylko latarnie rzucały niepewne światło na mury domów. Z głębokich piwnic dochodziły niemiłe zapachy, w głębokich bramach domów chroniły się jakieś zagadkowe indywidua, spoglądające błędnemi lub złowrogiemi oczyma na przechodniów.

Z okien pewnej odrapanej, brudnej kamienicy, rozbrzmiewał surowy, nieprzyjemny śmiech, krzyki i wyuzdane śpiewy mąciły poważną ciszę nocy.

— Przyjemna okolica! — zauważył Harry.

Szerlok Holmes popatrzał na niego z uśmiechem.

— Ale idąc tędy, skracamy sobie znacznie drogę — odparł — a zależy mi na tem, by raz pójść do łóżka! Jestem śmiertelnie znużony!

Chciał spojrzeć na zegarek, ale w tej chwili schował go z powrotem do kieszeni, wydawszy lekki syk przez zęby. To samo zrobił z elektryczną latarką, przy świetle której chciał rozpoznać godzinę.

To, co zauważył teraz na ulicy, nakazywało nadzwyczajną czynność.

Z ciemności patrzyła na niego para złych, nienawistnych oczu. Dwóch ludzi stało przed murem zakrywając swem ciałem wielki jakiś wór. I Harry zrobił tosamo spostrzeżenie, ale poszli dalej, udając, że ich to zgoła nic nie obchodzi.

— Co to było? — zapytał Harry, gdy się już dostatecznie oddalili.

Holmes nic nie odpowiedział, tylko pociągnął swego towarzysza w najbliższą przecznicę. Z za węgła domu obserwowali tych dwóch nocnych ptaków.

W ciemności nie mogli atoli nic więcej zauważyć nad to, że dwaj nieznani ludzie nieśli jakiś pakunek, bardzo ciężki jak się zdawało. Przed brudnym domem z oświetlonemi oknami — zatrzymali się, i wkrótce zniknęli z oczu.

Holmes kocim krokiem pobiegł do bramy a Harry za nim.

Zacisnęli kapelusze na głowę, kołnierze płaszczów podnieśli do góry i gdy wielki detektyw próbował kolejno swoich witrychów, chcąc bramę otworzyć, miał uderzające podobieństwo do zwyczajnego rzezimieszka.

Pracował z całem natężeniem, podczas, gdy Harry stał na straży. Ale nikt nie przeszkadzał im w robocie.

— A co? idzie? — zapytał Harry zbliżając się nieco.

Szerlok Holmes wstrząsnął niechętnie głową.

— Wytrych nadaje się, ale drzwi nie chcą puścić — odpowiedział niechętnie — prawdopodobnie muszą być od wewnątrz zamknięte na ciężkie rygle. Musimy pracę na kiedyindziej odłożyć!

— I poco się mordować mistrzu?! — odrzekł Harry — są to zapewne dwaj urwisze, którzy będąc głodni, ukradli worek ziemniaków!

— Co ty wygadujesz — rzekł zły Holmes, chowając narzędzia do kieszeni. — Pójdźmy! A ty zapisz sobie ulicę i numer domu!

Harry skonfundowany uczynił to, co mu kazano.

— Nie gniewaj się mistrzu! — rzekł smutnym głosem Harry — ale widziałem naprawdę, że to, co nieśli, był worek!

— I ja także widziałem! — brzmiała lakoniczna odpowiedź.

— I pomyślałem sobie właśnie, co może być w takim worku prócz kartofli?

Szerlok Holmes nie odpowiedział mu odrazu, dopiero po małej pauzie zaczął mówić wyraźnie i dobitnie.

— Co jednak powiesz, że zauważyłem, jak w krótkim tym czasie, gdym latarkę rozświetlił, w worku coś się poruszało?!

Harry milczał.

Tymczasem doszli do domu. W sieni pod drzwiami mieszkania powitało ich radosne szczekanie psa.

— Cicho Hektor! Cicho! — krzyknął detektyw otwierając drzwi cichutko.

Wspaniały, długowłosy newfundlandczyk rzucił się radośnie na Holmesa kręcąc ogonem.

Tymczasem w jadalnym pokoju, dzięki skrzętnej gospodyni detektywa miss Bonnel był już stół zastawiony do wieczornego posiłku. Czajnik szumiał wesoło, a rybki i wędliny zapraszały formalnie do jedzenia smacznym swym wyglądem.

Posiliwszy się udali się detektywi na spoczynek. Hektor pospieszył do sypialni swego pana, gdzie przy łóżku była zawsze dla niego przygotowana skóra wilcza.

Była może druga godzina, gdy zadzwoniono gwałtownie do drzwi mieszkania detektywa. Z przeraźliwym szczekaniem zerwał się czujny pies kierując roztropne swe oczy to na pana, to na drzwi.

Detektyw wstał by otworzyć. W korytarzu spotkał się z Harrym, który malowniczo udrapowany był kołdrą.

— Co jest? — zapytał wystraszony.

— Jeszcze nie wiem! — odparł obojętnie Szerlok Holmes, otwierając drzwi od sieni. Tu mimo ciemności ujrzał dwie postacie. Jedna z nich trzymała kopcącą latarnię. Był to stróż.

— Przepraszam panie Holmes, że go ze snu budzimy. Ale pewna dama chce koniecznie mówić z panem.

— Teraz w nocy? — zawołał Harry półgłosem.

— Kto tu jest? — spytał ostrym tonem Holmes.

Spazmatyczne łkanie było jedyną odpowiedzią.

W tej chwili weszła z lampą w ręku gospodyni Holmesa mrs. Bonnel.

W blasku jej ujrzał detektyw młodą kobietę ubraną po salonowemu, twarz jej była blada i łzami zalana, oczy smutne i zrozpaczone.

— Pani Bonnel! Zaprowadź panią do salonu! — rzekł do zdziwionej gospodyni.

Wkrótce zjawił się Szerlok Holmes w eleganckim ubraniu, a w ślad za nim wsunął się Harry.

— Nie pomylę się chyba, przypuszczając, że panią spotkało jakieś nieszczęście — rzekł Holmes ze współczuciem — Kto jestem, wie pani prawdopodobnie. Czy mogę zapytać o nazwisko pani?

— Mój mąż był jeneralnym adjutantem sekretarza stanu dla Indyi — odrzekła — Mr. Alfred Hape.

— Jakto „był“? — zapytał Holmes, dla którego nazwisko to nie było obcem.

— Zastrzelono go dzisiejszej nocy! — krzyknęła załamując rozpaczliwi ręce — zamordowali go podstępnie! O! mój biedny, Alfredzie! Jakżeż ja twoją śmierć przeniosę!...

Szerlok Holmes zerwał się przerażony, niemniej i na Taksona podziała ta wiadomość przykro.

— Morderca uciekł — mówiła dalej nieszczęśliwa kobieta — Pomóż mi pan w odszukaniu go! Chcę się na nim krwawo zemścić!...

Z trudem udało się detektywowi uspokoić ją do tego stopnia, że z bezładnych, łkaniem przerywanych jej słów mógł się coś dowiedzieć.

Teraz spojrzał szybko na zegarek.

— Gdzie to się stało? – zapytał spiesznie.

Kobieta zakryła twarz w dłoniach i milczała.

— Zdaje mi się, że mr. Hope mówił o instytucie Imperial — wtrącił Harry.

— Czy tak jest istotnie? — zapytał detektyw łagodnie pochylając swą twarz ku płaczącej.

Kobieta skinęła głową.

— Chodź Harry! — nalegał mistrz — nie można ani chwili czasu tracić!

— Pójdę z panem! — rzekła nagle ze stanowczością pani Hope — mój powóz czeka na dole.

Holmes podał jej w milczeniu ramię.

Dniało już, gdy przejeżdżali przez Hyde-park skąpany cały w porannej rosie.

Młoda kobieta siedziała apatycznie oparta o poduszki powozu. Obydwaj detektywi zajęci byli własnemi myślami.

— Czy ma pani podejrzenie na kogo? — zapytał detektyw patrząc ze współczuciem na tę młodą, nieszczęście złamaną istotę.

Zaprzeczyła łekko głową.

— Czy nieboszczyk miał nieprzyjaciół?

— Nie miał nikogo, ktoby mu źle życzył! — rzekła matowym głosem — Wszyscy go szanowali i czcili. Był to najlepszy człowiek pod słońcem. Ubóstwiałam go!

Głośne łkanie przerwało jej słowa.

ROZDZIAŁ IV.

Niebieski turban.

Powóz zatrzymał się przed instytutem Imperial.

Pierwszy, który wyskoczył, był pies Hektor który również pierwszy zajął miejsce w powozie. W samopoczuciu swojej psiej godności wzniósł dumnie ogon i biegł naprzód.

Holmes pomógł bladej kobiecie wysiąść, która płacząc uwiesiła mu się na ramieniu. Harry szedł na końcu.

Detektyw stanął i milczał przez chwilę, dając czas nieszczęśliwej do opanowania się.

— Bądź pani rozsądną! — rzekł łagodnie — posłuchaj pani mojej rady, rady człowieka, który pani dobrze życzy i w ciężkiem położeniu twojem nie opuści cię! Jedź pani do domu! Tu nie jest miejsce dla ciebie! Czy ma pani rodziców tu w Londynie?

— Tak! — odrzekła cichym głosem.

— To jedź pani do nich. Przeszkadzałabyś mi pani tylko w moich czynnościach, a sama rozdrażniłabyś się więcej!

— Byłam zupełnie bez głowy, wyleciałam jak szalona w nocy, gdy oderwano mnie od zwłok ukochanego człowieka. Pobiegłam — do pana — mówiono, że pan mi pomoże —

Pomógł wsiąść jej do powozu, zapytał o adres jej rodziców i powtórzył go stangretowi.

— Bądź pani spokojna! — były ostatnie jego słowa — Usłyszy pani niebawem o mnie!

— „Times!“ — „Morning Post!“ — krzyczeli mali roznosiciele gazet przeraźliwym głosem.

Szerlok kupił kilka dzienników i wsadził je mechanicznie do kieszeni.

Następnie skierował swe kroki ku Instytutowi. Harry pospieszył za nim, a nieodstępny pies biegł naprzód.

Policya i koroner byli już na miejscu. Część uczestników zgromadzenia pozostała i otaczała ze smutnemi, zmęczonemi czuwaniem i wrażeniami, twarzami — miejsce zbrodni.

Wszedłszy zamienili detektywi niemy uścisk ręki ze znajomymi panami z sądu. Zdjąwszy kapelusze przystąpili do zmarłego.

Cichym głosem opowiadano im krwawy wypadek. Nie było zresztą wiele do opowiadania.

Śmierć ofiary nastąpiła natychmiast.

Strzały musiały paść z bardzo blizkiej mety, jak opalone prochem rany świadczyły o tem; z morderców nie pozostał ani ślad nawet.

Pewien sympatyczny młody blondyn oświadczył, że widział o ile mu się zdaje mordercę.

— Czy będzie pan tak grzecznym opisać mi go bliżej? — zapytał detektyw uprzejmie.

Świadek namyślał się przez chwilę, usiłując przypomnieć sobie dokładnie postać zbrodniarza.

Zeznania jego nie były bardzo obfite. Zbrodniarz był średniego wzrostu, ubrany w zniszczony czarny garnitur, twarz miał zupełnie pozbawioną zarostu, a na głowie niebieski turban. Z wzięcia się jego i wyglądu możnaby przypuszczać, że był to biedny student hinduski.

To było wszystko, co o nim można się było dowiedzieć. Kilkunastu ludzi widziało go także, ale skąd przyszedł, dokąd poszedł — nikt nie wiedział.

Detektyw zaczął zwykłe swoje poszukiwania. Na podłodze, stołach, stołkach, krótko, w całej sali badał za jakiemikolwiek śladami, ale wszystko nadaremnie!

Ze ściągniętemi brwiami, trzymając elektryczną latarkę w ręku poszedł na schody i wytężając oczy czynił dalej swe poszukiwania. Przepiękne palmy stały rzędem wzdłuż schodów umieszczone w majolikowych kosztownych wazonach.

Szerlok Holmes zaglądał do wszystkich kątów.

Nagle schylił się tak nagle, że latarka z rąk mu wypadła. Z okrzykiem zdziwienia podniósł jakiś przedmiot z ziemi.

W ręku jego ukazał się — niebieski turban!

— Hail and thunderstorun! — zawołał blondyn — to jest właśnie nakrycie głowy zbrodniarza! Nie ma wątpliwości! Gdzie pan go znalazłeś?

— Leżał pomiędzy wazonem za palmą a ścianą! — odpowiedział detektyw oglądając turban na wszystkie strony — Oczywiście, dla swej jasnej barwy łatwo mógł ludziom wpaść w oczy. Dla wszelkiego bezpieczeństwa pozbył go się więc w krótkiej drodze.

Nastała chwila ciszy, aż wreszcie gwizdnął Szerlok Holmes przeraźliwie.

Pełnym galopem przyleciał Hektor wierny pies Holmesa.

Detektyw ujął go za łeb i trzymał mu przez dłuższy czas turban przy nosie.

Rozumne zwierzę niuchało długo, kręcąc ogonem. Potem spojrzał na swojego pana takim wzrokiem, jakby mówił: „Bądź spokojnym, już ja cię nie zawiodę!“

Potem zszedł pies powoli na dół po schodach nie odrywając nosa od ziemi.

Za nim szło mnóstwo ludzi, a na ich czele Szerlok Holmes.

Pies bez wahania opuścił Instytut i puścił się w kierunku Hyde-Parku. Tu zatrzymał się przez chwilę, a potem pobiegł boczną ścieżką.

Przy pomniku Alberta stanął i zaczął węszyć. Wszyscy patrzyli na niego tłumiąc oddech w piersi, ale pies pobiegł już dalej wązką ścieżynką pełną jeszcze porannej rosy. Zaledwie byli w stanie nadążyć za nim ci ludzie niewywczasowani i niewyspani z całej nocy. I tak, jeden za drugim pozostawał po drodze — jedynie tylko Holmes i Takson ścigali psa wytrwale.

Hektor skręcił nagle na lewo na drogę wysadzaną gęsto drzewami, a wiodącą do Querns Road.

Mały, rozwalony domek stał tutaj, otoczony dzikim ogrodem, co nadawało mu pewnych cech romantyczności.

Czworonożny detektyw zatrzymał się i zaczął drapać łapą do drzwi, a gdy mu nie otworzono, nie namyślając się długo przelazł przez płot.

Szerlok Holmes nie mógł, pomimo swej szczupłości pójść za przykładem Hektora, zaczął więc dzwonić do bramy.

Nikt się nie zjawiał.

Wobec tego przeskoczył detektyw przez płot i zaczął dobijać się do zamkniętych drzwi, co z przeraźliwem ujadaniem psa, stanowiło prawdziwie piekielną muzykę.

Wreszcie dały się słyszeć leniwe jakieś kroki. Klucz zaskrzypiał w zamku i w drzwiach ukazała się wreszcie jakaś leciwa, bardzo tęga dama.

Pies przebiegł koło niej i pędem pobiegł na górę schodami.

— Cóż to za piekielna bestya! — krzyknęła przerażona kobieta.

Szerlok Holmes chciał siebie i psa usprawiedliwić, ale ona nie dała przyjść do słowa.

— Czego pan chcesz o tak wczesnej godzinie? Kto pan jesteś? Jak pan wszedłeś do tego ogrodu? — krzyczała rzucając gniewne spojrzenia na detektywów, a jedną ręką przytrzymując rozpinającą się ustawicznie bluzkę.

Szerlok Holmes nie mogąc równocześnie odpowiedzieć na tyle pytań — ograniczył się na przedstawieniu siebie i swego pomocnika, a następnie wydobył z kieszeni niebieski turban.

— Czy zna pani ten turban? — zapytał z ostrem spojrzeniem. — Właściciel tego nakrycia głowy musi znajdować się w pani domu!

Odpowiedziała spojrzeniem nieustraszonem i zdumionem.

— Naturalnie, że znam! To jest własność studenta Karola Angra, który u mnie mieszka! A co pan chce od niego?

Holmes odsłonił swoje incognito.

Stara dama zbladła.

— Cóżby on takiego mógł uczynić? — zapytała z niekłamanym strachem — On jest zawsze taki spokojny i cichy! Tu zachodzi z pewnością jakaś pomyłka! Niech go się pan sam zapyta! Proszę na górę! — zwróciła się do obydwóch detektywów.

Przy wązkich drzwach zatrzymał się pies, zaczął wyć i drapać łapą do drzwi. Harry zdjął mu obróżę, a kobieta zapukała.

— Otwórz pan, panie Angra!... Czas na wykłady! — wołała wystraszona.

Żadnej odpowiedzi.

— Dear me! — biadała kobieta. — Może mu się co stało?

— A czy pani przypuszczasz, że lokator jest u siebie?

— Ależ z pewnością! Sama widziałam, że wrócił w nocy do domu! Późnym wieczorem udał się do Imperial-Instytutu na zgromadzenie indyjskich studentów, ale nie był tam długo!

— Kiedy powrócił?

— Około pierwszej godziny!

— Nie wie pani, czy się wydalał jeszcze z domu?

— Nie! zaraz zasnęłam! On ogółem nie ma zwyczaju włóczyć się po nocach!

— A czy masz pani drugi klucz od jego mieszkania?

Kobieta zaprzeczyła głową.

— W takim razie muszę drzwi siłą otworzyć! — rzekł detektyw stanowczo i zabrał się zaraz do roboty.

Zaskrzypiały w zamku wytrychy, stara kobieta jęknęła i drzwi się otwarły. Wszyscy zwrócili spojrzenia do pokoju.

Gniazdo było puste — ptaszek wyfrunął.

Szuflady i szafy znaleziono otwarte, stare papiery i gazety leżały na podłodze. Cały wygląd świadczył o tem, że mieszkaniec jego opuścił go spiesznie.

Hektor oparł się łapami o łóżko, które nie było rozebrane, tylko małe wgłębienie wskazywało że ktoś na niem siedział.

Obwąchał to miejce dobrze, podniósł nos w górę i opuścił się na łapy.

— Zrobiłem, co do mnie należało! Czyń pan swoje! — zdawał się dawać do zrozumienia oczyma.

ROZDZIAŁ V.

Druga zagadkowa zbrodnia.

Próżny był trud Szerloka Holmesa, by z wystraszonej babiny wydobyć jakieś szczegóły dotyczące osobistości i zwyczajów lokatora.

Jedyną jej odpowiedzią było uparte milczenie Zdawało się, że sędziwa kobieta z całego serca współczuje młodzieńcowi, było w tem coś jakby jakieś uczucie macierzyńskie. Jedno tylko pytanie nie schodziło jej z ust:

— Co on uczynił? O co go obwiniają.

Ale i Szerlok Holmes umiał milczeć. Najpierw nie chciał bardziej denerwować kobiety, o której niewinności był najzupełniej przekonany, powtóre unikał przez to i jej pytań — wreszcie chciał zaoszczędzić sobie drogiego czasu.

Holmes ograniczył się tylko na starannem przeszukaniu pokoju. Nie znalazł jednak nic, oprócz numeru jakiejś politycznej gazety, noszącej tytuł: „The Indian Sociologist“.

Szerlok Holmes oparł się na oknie i przebiegł oczyma wstępny artykuł polityczny. Artykuł świetnie napisany, wymierzony był przeciw rządowi angielskiemu.

Detektyw gwizdnął przez zęby i schował ga-

zetę do kieszeni. Potarł czoło rękami i zaczął wykręcać swoje długie palce, że aż trzeszczały w stawach. Nie można było przypuścić, żeby ta stara dama była prenumeratorką rewolucyjnej gazety. Teraz wiedział, gdzie szukać przyczyn tajemniczego morderstwa.

Pożegnał się ze starą lady. Cóż miał tu więcej do czynienia? Pies zgubił trop, kobieta nic mówić nie chciała, a wskazówek żadnych w tym domu nie znalazł.

Na ulicy zawołał dorożkę i kazał jechać do domu na Bakerstred.

— Czy jesteś pan choć częściowo zadowolony z dzisiejszej roboty? — zapytał Harry, który w zamyśleniu głaskał psa.

— Z psa — najzupełniej — odpowiedział Szerlok Holmes, poklepawszy mądre stworzenie po głowie.

— Sprawa zaciemnia się coraz bardziej! — rzekł Harry i przy tych słowach odwiązał z obróży psa pasek damski, na którym uwiązał go był do drzewa, gdy obaj detektywi zajęci byli rewizyą w instytucie.

— Sprawa nie zaciemnia się wcale, my dear! — odpowiedział Holmes z humorem. — W domu opowiem ci, co o tem wszystkiem sądzę — teraz pozwól mi pomyśleć trochę!...

— Zauważyłem, że sprawa ta w wysokim stopniu absorbuje pana!

— Nie inaczej mój chłopcze! Ale mimo tego nie spuszczajmy z oka innych spraw, które dawniej ujęliśmy w swoje ręce!

— Myślisz pan o sprawie głodomora Sacco — zapytał Harry.

— Zgadłeś! Dzisiaj odwiedzimy go i dowiemy się, co z nim słychać!

Tymczasem dojechali do domu.

Pani Bonnet zajęła się natychmiast przyrządzeniem smacznego „lunchu“ i obydwaj detektywi siedzieli przy stole, czysto obrusem zasłanym i spożywali z apetytem obfite dary Boże.

Szerlok Holmes lubiał jeść dobrze i wymyślnie. Po posiłku zapalił detektyw swoją fajeczkę.

Szerlok Holmes wydostał z kieszeni gazety. Taksonowi podał numer „Indian sociologist“, znaleziony w pokoju studenta.

— Przeczytaj sobie ten artykuł wstępny, objaśni ci on poniekąd zapatrywania polityczne zbrodniarza, a zarazem rzuci pewne światło na motywa jego czynu.

Harry zagłębił się w lekturze dziennika, a Holmes przeglądał inne gazety.

Zapanowała przyjemna cisza.

Obydwaj czytelnicy rozsiedli się wygodnie w fotelach i czytali dzienniki, otaczając się kłębami wonnego dymu.

Hektor drzemał przy kominku.

Na polu zaczął deszcz padać. Monotonnie uderzały grube krople wody o szyby okien.

Nagle skoczył Holmes ze swego fotelu.

— To jest niemożliwe!... To można zwaryować! — krzyczał jakby naprawdę zmysły postradał.

— Co się stało mistrzu?! — zapytał Harry zdziwiony i przestraszony zarazem.

— Coś, czego sam z pewnością nie rozumiesz?! — odpowiedział Holmes — Posłuchaj!...

Wstał i odczytał następujący artykuł:

Tajemnicze zniknięcie znanego głodomora Ricarda Sacco!

Wśród niezwykłych okoliczności zginął wczoraj bez śladu sławny Ricardo Sacco!

Artysta w przeddzień zaangażował się do teatru rozmaitości Henglera i zajął miejsce w swojej szklannej skrzyni, która w obecności licznych świadków została zamknięta i opieczętowana (!) Teraz nie pozostało ani śladu z głodomora. Przypuszczają powszechnie zbrodnię, tem bardziej, że artysta nie miał najmniejszego powodu do ucieczki.

Szczególniejsza okoliczność, że zamki i pieczęcie zostały nienaruszone (!)

Będziemy mieli sposobność Czytelnikom naszym zdać sprawę z tajemniczego tego zajścia.

Powstrzymując oddech, słuchał Harry artykułu.

Deszcz wzmagał się z każdą chwilą, jakby wszystkie upusty w niebie się otworzyły. Szerlok Holmes upuścił gazetę na ziemię.

— Zagadka za zagadką! — rzekł opuszczając pokój.

W korytarzu otworzył szafę i wyjął z niej nieprzemakalny płaszcz gumowy.

I Harry przygotował się do wyjścia i nasunął na głowę najstarszy kapelusz, jaki posiadał.

— Czy i pies ma iść z nami? — zapytał Harry detektywa.

— Byłoby to bezcelowe — odrzekł — na deszczu ginie wszelki trop dla psa.

Szybko zbiegli detektywi na dół po schodach.

* * *

Gruby dyrektor Hengler był do najwyższego stopnia zdenerwowany i zaniepokojony. Opowiedział detektywom to, co wiedział o zniknięciu artysty, na którego powodzenie tak wiele liczył.

Wiele nowych szczegółów nie usłyszał od niego Holmes. Mniej więcej powtórzył tylko to, co wielki detektyw wiedział już z gazety.

— Czy nikt nie słyszał żadnego hałasu w nocy? — zapytał Holmes, kręcąc głową.

— Bynajmniej! nie było tu żywej duszy! — brzmiała odpowiedź. — Proszę pana! Oddźwierni teatru śpią tuż w pobliżu, a nad panem Sacco czuwała moja nic nie znacząca osoba! Szklanna skrzynią jest zamknięta, zamki i pieczęcie nienaruszone, ba! nawet z wewnątrz rygiel zasunięty! Czy dyabeł uwziął się na mnie, czy co?... Dalibóg! Ja tego nie pojmuję!

Obtarł spocone swoje czoło czerwoną jedwabną chustką i odetchnął ciężko kilka razy, jak ryba z wody wyjęta.

— A możebyśmy poszli do szklanej klatki? — zaproponował Holmes.

— Owszem! owszem! Rozumie się! — odpowiedział mały dyrektor i potoczył naprzód tak prędko, o ile mu na to krótkie jego nóżki pozwalały. Rozmawiając z sobą po cichu szli za nim obydwaj detektywi.

— To jest jeden, jedyny wypadek w historyi powszechnej, mówił dyrektor Thompson, wymachując rękami. — Czegoś podobnego nie dożyłem jeszcze! Zagadkowe! piramidalne! bajeczne!

— Bezradnie stał największy detektyw świata przed szklanną klatką, najdokładniej, najhermetyczniej pozamykaną i opieczętowaną.

— Czy była tu już policya? — zapytał mechanicznie.

— Oczywiście! — brzmiała odpowiedź — była dzisiaj zrana. — Wszyscy ci panowie zgłupieli i z niczem odeszli.

— Czy sporządzili protokół?

— Tak! Ale cóż tu było zapisywać? Ruszali ramionami, kiwali głowami i patrzyli na siebie z głupiemi minami! To był rezultat ich dochodzeń. Szczególna rzecz, szczególna, nie do pojęcia!...

— No, a pan, czy nie słyszałeś nic podejrzanego w nocy?

Gruby człowieczek poruszył głową przecząco.

— Nic nie mogę stanowczego powiedzieć w tym względzie. Raz o północy zdawało mi się, że ktoś drzwi otwiera, ale mogło mi się to śnić tylko!

Wzruszył ramionami i podniósł brwi w górę.

— Chciałbym przesłuchać służbę, śpiącą w sąsiedztwie sali teatralnej! Możeby pan zawołał tych ludzi? — rzekł Holmes, oglądając przy swej lampce elektrycznej szklanne ściany klatki.

— Tu może być mowa tylko o dwóch. Są nimi chłopak stajenny i ujeżdżacz. Idę po nich! — zawołał, widząc zniecierpliwiony ruch detektywa.

Wkrótce ukazali się wezwani. Ujeżdżacz, sympatyczny, szczery człowiek o otwartej fizyonomii, zaświadczył z całą wiarygodnością, że krytycznej nocy był na weselu swej siostry aż do rana, więc mimo najszczerszych chęci nie mógł nic widzieć ani słyszeć, co się działo w teatrze.

Chłopak stajenny, młody wyrostek o zachmurzonej twarzy i bojaźliwych oczach, powtarzał w kółko tylko to jedno: „Dajcie mi spokój, ja nie wiem o niczem!“

— Czy nic nie zauważyłeś podejrzanego tej nocy, mój synu? — zapytał go łagodnie detektyw.

— No! – odparł, patrząc obojętnie przed siebie.

— Musisz zapewne silnie spać? — badał dalej detektyw.

— No! — brzmiała odpowiedź.

— A czy późno chodzisz spać?

— No! — odrzekł i wsadził ręce do kieszeni.

— No! — przedrzeźnił go detektyw ze złością – ruszaj sobie skąd przyszedłeś!

Chłopak chciał się zabrać.

— Przynieś panom dwa stołki, ty baranio głowo! – upomniał go dyrektor ze złością.

— Przyniesiono stołki, a detektyw usiadł tuż przy szklannej szafie i bez ustanku majstrował coś koło drzwi. Nagle podniósł głowę, a oczy jego zaświeciły z tryumfem.

— Przyślij mi pan dużą szpilkę — zwrócił się pospiesznie do dyrektora, patrzącego na niego z otwartemi ustami.

— Tak, tak, ale jaką szpilkę?

— Szpilkę do głowy, do kapelusza pańskiej żony — —

Mały dyrektor pobiegł i wrócił w jakiś czas, niosąc olbrzymią szpilkę do kapelusza.

— Nie chciała mi jej dać, musiałem walczyć

o to! — mówił dumny ze swego zwycięstwa. — Czy znalazłeś pan co?

— Tak jest!... Te drzwi zostały prześwidrowane!

— Ale jak? Ale gdzie?

Oczy grubasa zaokrągliły się ze zdziwienia.

— Zaraz to panu objaśnię! — rzekł Szerlok Holmes, wodząc szpilką po drewnianych ramach szafy. Wreszcie znalazł szukane miejsce. Ujął szpilkę za główkę i wepchał ją całkowicie w drzewo, tak, że przez szyby można było widzieć, jak wyszła na drugą stronę.

Wszyscy patrzyli ze zdumieniem na tę manipulacyę.

— Zbrodniarze prześwidrowali ramę i zalepili potem tę małą dziurkę woskiem tego samego koloru, co politura drzwi.

Dyrektor Thompson patrzał na detektywa takim wzrokiem, jakby go posądzał o utratę zmysłów.

— Jakto? — zawołał — więc pan przypuszczasz, że oni przeciągnęli głodomora przez tą dziurkę? No! jeszcze do tego stopnia cienkim nie był?

— Zaraz to panu opowiem! — odpowiedział wielki detektyw spokojnie.

— Patrzaj pan! Te drzwi są z wewnątrz zasunięte zwykłym, nieskomplikowanym ryglem. By go z zewnątrz otworzyć, uciekł się zbrodniarz do następującego fortelu: Wyświdrował maleńki otwór w drzwiach, przesunął przez niego specyalnie skonstruowaną szpilkę, na której poprzód przytwierdził długi włos koński, zakończony pętelką. Manipulując zręcznie tym instrumentem, zarzucił pętelkę na rączkę rygla, obrócił ostrożnie i — rygiel posunął.

Obecni oniemieli z podziwu.

— Zamek otwarto wytrychem, pieczęcie zmiękczono gorącą wodą i rozluźniono nożem — —

— Mistrzu! jesteś wielkim, nieporównanym! — zawołał Harry entuzyastycznie.

Dyrektor nie otworzył nawet ust z zdumienia.

— W ten sposób było możliwem głodomora, ubezwładnionego z pewnością poprzód jakimś narkotykiem, wydobyć z szklannej szafy.

— Dotychczas wszystko pięknie i dobrze! — zawołał ktoś grubym głosem z tyłu.

Wszyscy obejrzeli się z ciekawością.

— Tak jest! W ten sposób wyciągnięto stąd głodomora!...

— Patrzcie państwo! Nasz czcigodny pan inspektor z Scottland Yard, mr. Mc. Gordon! — rzekł Szerlok Holmes, wyciągając rękę do przybyłego — Good day! Co się tyczy pańskiej uwagi i uznania, cieszy mnie ono bardzo.

— Uznania? No tak! Nie jest wykluczone, że zajście w ten sposób się rozegrało, jak pan to opisujesz! Ja jednak jestem zdania, że całą szafę zdemolowano, a potem ją napowrót złożono!

Harry spojrzał porozumiawczym wzrokiem na swego mistrza, który przybrał ironiczny wyraz twarzy i usta przygryzł.

— Well! A więc wytoczę większe działa do walki! — rzekł detektyw! Przedewszystkiem widzi pan, panie inspektorze, że szafa ta stoi dotychczas nienaruszona.

— Tak, ale... — chciał szef policyi wtrącić.

— Pozwól mi pan skończyć! — rzekł Holmes i objaśniał dalej, demonstrując po kolei sposób w jaki sprytne rzezimieszki dostali się do wnętrza. Że szafa z miejsca nie była poruszana świadczyło już o tem, że potężne śruby, któremi od wewnątrz do podłogi była przytwierdzoną — pozostały nienaruszone.

Co się tyczy odjęcia i powrotnego umieszczenia pieczęci na swojem miejscu, to jest to sposób znany dobrze urzędnikom policyjnym pewnych państw przy otwieraniu listów podejrzanych osób, tak, że adresat nie ma nawet przeczucia, że treść jego listu zna już kto inny.

Przy tych demonstracyach wziął Holmes jedną z pieczątek do ręki i przyglądał się jej bacznie.

— Ha! co to jest?! — krzyknął nagle.

— Nic ważnego! — wtrącił Mc. Gordon na lak spojrzawszy baczniej. — Widać tu tylko, że ten, kto po raz wtóry pieczątkę na drzwiach umieszczał, przygniótł palcem jej brzeg. — Otóż i wszystko!

— O to też chodzi — odpowiedział detektyw spokojnie. — Popatrz pan na niego przez lupę! Czy pan nic nie zauważy?

— No co? — mówił inspektor obserwując lak przez szkło. — Delikatne żyłkowanie skóry wielkiego palca, które odbiły się na miękkim laku — są przepołowione. Dowodzi to tego tylko. że dotyczący człowiek musiał mieć na wielkim palcu małą narośl lub brodawkę.

— Bardzo słusznie! — potwierdził Szerlok Holmes, a zwracając się do dyrektora, zapytał:

— Kto pieczętował te drzwi, czy pan nie pamięta?

— Jakżeż nie mam pamiętać, skoro opieczętowania ja sam dokonałem!

— Well! to wsadź pan rękę do rury tego żelaznego pieca!

Dyrektor zrobił grymas zdziwienia.

— Proszę zrób to pan dla mnie. Czuję, że zaczyna mnie ząb boleć, a to jest stary, sympatyczny środek na to cierpienie.

Grubas uczynił ze zdziwieniem zadosyć życzeniu detektywa.

— Tak, a teraz połóż pan tę rękę na papierze!... Otóż mamy odbicie dłoni Mr. Henglera.

Z odbicia tego przekonano się, że na pieczątce jest inny ślad wielkiego palca, eo ipso ślad palca człowieka, który najpierw oderwał, a potem napowrót przylepił aa drzwiach pieczęcie.

— A teraz wejdźmy do środka klatki! — i powstrzymał w zapędzie inspektora, który pierwszy chciał do niej wskoczyć.

Następnie oglądnął dokładnie kurz osiadły na dnie szafy, nic jednak z roztartych śladów nie mógł wywnioskować.

We wnętrzu klatki było wszystko w porządku. Kanapa, poduszki i cała baterya butelek z selterską wodą, z których zaledwie trzy zdołał Sacco wypróżnić. Pudełka z papierosami były nienaruszone.

Książki, papiery i przybory do pisania na biurku nie zdradzały również nic wyjątkowego. Ale nie! Ze stosu czystego papieru do pisania wysterczał jeden arkusz.

Wielki detektyw wyciągnął go ostrożnie i obejrzał. Na jednej stronie było skreślonych kilka wierszy, druga, zbrudzona świadczyła niewątpliwie, że papier ten musiał leżeć na ziemi.

— Pozwól pan, panie Holmes! — zawołał w tej chwili dyrektor — zdaje się, że jest to poetyczny wylew uczuć pana głodomora!

Wziął papier do ręki i czytał:

„W hermetycznem swem zamknięciu
„Siedzi już od godzin pięciu
„I wesoło dalej pości
„Sacco — sługa publiczności!“ *)

— Mamy tu kawałek papieru — rzekł Holmes — który przez złoczyńców został z ziemi podniesiony. I na nim odkryjemy z pewnością ślady tych samych palców!

Holmes oddał papier swemu uczniowi.

Następnie wyszli z teatru zamknąwszy poprzód troskliwie szklanną szafę, by nikt z niepowołanych nie mógł się dostać do niej.

— Teraz rozchodzi się o następujące kwestye — mówił Holmes do otaczających go panów — Kto jest sprawcą? Może nim być tylko ten, kto miał interes w zniknięciu głodomora, a więc jego konkurent. Sacco wspominał mi już przed kilku dniami, że drugi jakiś artysta w jego fachu ubiegał się o engagement, ale został odpalony. Jak wyglądał ten człowiek, panie dyrektorze?

— Nie tak prędko czarnoksiężniku!... Jeszcze mi się wszystko kręci w głowie — mówił sapiąc grubas. — A więc jak wyglądał konkurent? Otóż – nie wiem. Zgłosił się do mnie tylko pisemnie! Odpowiedź przesłałem mu na jego życzenie poste-restante.

— Czy nie mógłbyś mi pan tego listu pokazać?

— Z przyjemnością! Oto jest! — rzekł, podając detektywowi list, który wyciągnął z napchanego portfelu.

List był napisany poprawnie po angielsku, ale styl jego zdradzał obcokrajowca. Podpis był zupełnie nieczytelny.

— Daruj mi go pan! — rzekł Holmes i papier oddał Taksonowi.

Obydwaj detektywi pożegnali się podaniem ręki z dyrektorem i Mc. Gordonem i odeszli.

ROZDZIAŁ VI.

Zamknięty dom.

Już dobrze się zmierzchało, gdy Szerlok Holmes, detektyw światowy, i uczeń jego znaleźli się na ulicy.

— Dokąd idziemy teraz? — zapytał Harry, patrząc na mistrza z szacunkiem.

— Tak, tak!... „Dokąd, po co, na co?“ Pomyśl i ty raz samodzielnie!

— Mieliśmy odwiedzić mr. Sacco — odpowiedział uczeń — by znaleźć ślad zbrodniarzy lub zbrodniarza.

— Ślad mamy już — odparł wielki detektyw zapalając swoją fajeczkę i podając ogień do papierosa uczniowi.

Twarz Taksona wyrażała zdziwienie.

— A gdzież ten ślad mamy i dokąd on prowadzi?! — zapytał zmięszany.

*) Oryginalny wiersz głodomora Ricardo Sacco.

Mistrz puścił mu kłąb dymu w twarz.

— Harry! czy zapomniałeś o tej małej, smrodliwej uliczce, którą szliśmy wczoraj?

Harry skinął głową.

— Spotkaliśmy tam dwóch ludzi — mówił Holmes dalej — Nieśli oni ciężki wór, który usiłowali ukryć przed nami! I w tym worze znajdował się —

— Ricardo Sacco! – wrzasnął famulus radośnie.

— Zgadłeś! — zaśmiał się detektyw — nie trudna zresztą zagadka!

Pamiętasz zapewne także, że zniknęli oni ze swoim ciężarem w tym obskurnym domu, do którego bramy napróżno dobywaliśmy się?! Ten dom jest celem naszych odwiedzin!

— Prawdopodobnie Sacco żyje jeszcze! — rzekł cicho Harry.

— W każdym razie wskazany jest największy pośpiech — dodał Holmes. — Strach pomyśleć, do czego to prowadzi nieuczciwa konkurencya!

— — — — — — — — — — —

W zakazanym domu przy małej, zakazanej ulicy, zwanej w gwarze ludowej „Murderer Road“ siedziało dwóch ludzi w małym pokoiku, którego okno wychodziło na brudne i wiecznie ciemne podwórze.

Jeden z nich był to olbrzymi, muskularny drab w zaniedbanym ubraniu z nieporządną, rozwichrzoną czarną brodą. Spodnie z angielskiej skóry przytrzymywał mu na biodrach rzemień, a koszula niezdecydowanej barwy uzupełniała jego ubranie. Twarz, na której malowały się zdziczenie i nienawiść, oszpecona była szeroką, czerwoną blizną, przepoławiającą mu na dwie części fizyoznomię. Dla tego znaku przeszłości nazywano go nawet estetycznym mianem „Dwupyska“.

Rzeczywiście wyglądał tak, jakby miał dwie twarze.

Leżał na starej, podziurawionej, skórzanej sofie, nogi wyciągnął przed siebie i sapiąc, palił krótką fajkę, napełniającą nieznośnym odorem mieszkanie.

W pobliżu jego siedział na kulawym stołku młody człowiek o bladej, zarostu pozbawionej twarzy, wyrażającej niepokój i troskę. Trzymał głowę w dłoniach, a łokcie miał oparte o okno, zasłonięte starą jakąś kołdrą.

Miał na sobie ubogie ale czyste i całe szare ubranie, ale bieliznę brudną i podartą. Czarne włosy spadały mu w bezładnych kosmyczkach na czoło. Robił wrażenie człowieka, który od szeregu nocy nie był w łóżku.

Na stole przed kanapą paliła się cuchnąca lampa naftowa, tocząc skąpe i niepewne swe światło na pokój.

Resztki chleba i wędlin walały się na stole pomiędzy gazetami, butelką whisky i rozmaitemi wytrychami, które na sznurek „Dwupysk“ nawlekał. Od czasu do czasu rzucał tylko bezczelne, złe spojrzenia na młodego człowieka, który w milczeniu siedział przy oknie.

— Znowu filozofujesz? — mruknął wreszcie, nie wyjmując fajki z ust, a nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, rzekł pogardliwie:

— Idyoto!...

Blady człowiek podniósł głowę i spojrzał błyszczącemi oczyma na mówiącego.

— No i czegóż się tak gapisz? Tu możesz być bezpieczny przed łapaczami. Bądź spokojnym, tu cię żaden szpicel nie znajdzie!

Głębokie westchnienie było jedyną odpowiedzią młodzieńca.

— Co ci jest — wrzasnął „Dwupysk“ — Co ci się stało złego? Nic! Usunąłeś swojego konkurenta z drogi. Miałeś po temu prawo. Czy chcesz z głodu zdechnąć, jeżeli każde engagement ten łajdak z przed nosa ci zabierze?!

Kołdra wisząca w oknie poruszyła się. „Dwupysk“ zawołał nagle:

— Skąd tu tak ciągnie?!

— Okna są otwarte! — rzekł drugi zmęczonym głosem.

— To mi coś podejrzane! — krzyknął olbrzym przyskakując do okna i odsłaniając zaimprowizowaną firankę. Błyskawicznie wychylił głowę za okno.

Szmery i stąpania rozległy się teraz z ciemności. „Czarnobrody“ zaklął i skoczył na środek pokoju.

— Co jest? — zapytał, blednąc jego towarzysz.

— Uciekaj, blada twarzo! Uciekaj! — szepnął do niego, zgrzytając zębami — Tylko prędko! przez tajne wyjście!

I pociągnął za rękę młodzieńca. Wpadli w jakiś ciemny korytarz, który, zdawało się, że końca niema.

Ci, którzy zakłócili ich spokój, to był Szerlok Holmes i Harry Takson. Zjawili się tu przez podwórza sąsiednich domów, ponieważ bezpośrednie wejście do tego domu było dla nich niemożliwe.

Słyszeli całą rozmowę, a gdy w oknie ukazała się kudłata głowa „Dwupyska“ i znikła potem nagle — znaleźli się jednym susem w pokoju.

— Za późno! — mruknął detektyw oglądając się wokoło — To dziwne! Powinni nam byli wprost wpaść w ramiona.

— Może się ukryli w pokoju?— spytał Harry. Szerlok Holmes zaprzeczył głową, ale mimo to zaczął przeszukiwać brudny pokój.

— Muszą mieć jakieś tajemne wyjście!—rzekł wreszcie.

Poszedł cichutko ciemnym korytarzem, a Harry zanim.

— Mistrzu! Możeby zajrzeć do piwnicy? Tam ma być podobno Ricardo Sacco!

— Psstt!... — syknął Holmes ciągnąc go za sobą, poczem obaj ukryli się w ciemnym kącie.

Koło nich przeszło kilkunastu ludzi wrzeszcząc i śpiewając z całego gardła. Były między nimi i kobiety. Cała kalwakata zniknęła w pokoju znajdującym się na końcu korytarza.

Niepostrzeżenie szli za nimi detektywi. Omało że nie wywrócili się na ślizkich schodach.[1] Ciężkie piwniczne powietrze owionęło ich. Holmes świecił elektryczną latarką.

Korytarz tu się rozdzielał. Jedno jego ramię prowadziło w górę na schody. Tu leżały rozmaite worki, podobne do tego, w jakim zbrodniarze ukryli Głodomora. Ale wszystkie worki były próżne.

Drugie ramie korytarza było zamknięte ścianą Przez wyrąbany w niej otwór widać było płynący głęboki potok.

Długo spoglądał Holmes w ciemne nurty wody, daremnie myśląc nad tem, jaką tajemnicę kryły te fale?

ROZDZIAŁ VII.

Synowie Shiwy.

Jeneralny adjutant Alfred Hope został pogrzebany. Tłumy publiczności oddały mu ostatnią posługę i wśród ogólnego żalu przytomnych, w obecności zalewającej się łzami żony, spuszczono trumnę do ziemi.

Cokolwiek później odbył się obrzęd pogrzebowy indyjskiego lekarza. Współczucie dla zmarłego nie było tak wielkie, ponieważ był to człowiek samotny i szerokiemu ogółowi mało znany.

W Brookrood pod Londynem był cmentarz hindusów i tu znaleźli się liczni rodacy i współwyznawcy zmarłego. Byli to przeważnie mężczyźni, wysokie postacie o brunatnych twarzach i czarnych zarostach. Na znak żałoby mieli na głowach wysokie, białe turbany.

Jeden tylko był pomiędzy nimi, nie należący do indyjskiej rasy, chociaż i jego głowę biały turban pokrywał. Był to Szerlok Holmes, detektyw światowy.

Co on tu robił? Czy może szukał za zbiegłym mordercą? Czy poszedł za głosem nigdy nie zawodzącego go instyktu? Czy sądził, że znajdzie tu ślady krwawej zbrodni?

Założonemi rękoma, z poważną twarzą stał, mając oczy utkwione w małą kapliczkę indyjską, do której wniesiono szczególniejszego kształtu trumnę z papiermaché, kryjącą zwłoki zamordowanego. Trumna owinięta była w jedwabną materyę koloru lila, będącego symbolem żałoby u indyan. Ciemnowłose kobiety ubrane w suknie tej samej barwy odziały trumnę girlandami z kwiatów.

Nie płakał nikt ani nie zawodził, bo według wierzenia hindusów, śmierć nie jest niczem innem, jak przejściem duszy w wyższe regiony.

Ceremonia pogrzebowa zakończyła się procesyą.

Wszyscy mieli w twarzach wyraz rzetelnego smutku, tylko mała grupka indyjskich studentów stała z boku i w ogólnej żałobie nie zdawała się brać zbyt żywego udziału.

Szerlok Holmes zbliżył się nieznacznie do nich i widząc, że szeptem rozmawiają, zaczął pilnie podsłuchiwać.

— — — czy nie można było tego uniknąć? Pożałowania godny zbieg wypadków! On najmniej zawinił!!... — dokończył rozpoczętego zdania jeden z nich.

Student stojący obok wzruszył ramionami.

— Sam sobie winien! — rzekł ponuro — po co życie swoje stawiał na kartę, za tego przeklętego Anglika? Kto mu dal prawo wtrącać się w nasze sprawy? Nie zdało mu się, to prawda! Ale jak się mógł ośmielić stawać nam na drodze?! To było zuchwalstwo! Bezczelność!...

Detektyw słuchał ze zdumienia. Do czego odnosiły się te słowa? Czy nie do krwawego czynu w Instytucie Luperrel? To nie ulegało najmniejszej wątpliwości! Wstrzymując oddech słuchał dalej.

— A co słychać z Karolem Angra? — zapytał cicho.

Szerlok Holmes drgnął, ale nie zdradził najmniejszem skrzywieniem twarzy wrażenia.

— Nic o nim nie słyszano od tego czasu!

Rozczarowanie odmalowało się w rysach genjalnego detektywa.

Po małej pauzie rzekł jeden ze studentów ponuro:

— To nie był człowiek, któryby dorósł do tak wielkiego zadania!

Po tem zamilczeli.

— Tak jest to nie był człowiek odpowiedni! — zabrzmiał za nimi głęboki, poważny głos.

Przed zdumionymi studentami stał detektyw z skrzyżowanymi ramionami na piersiach i zwyczajem hindusów z pochyloną lekko głową na znak powitania.

— Przepraszam panów, że mięszam się do ich rozmowy, której byłem mimowolnym świadkiem. Ale jestem gorącym zwolennikiem idei oswobodzenia kochanej naszej Ojczyzny z przemocy angielskiej, i nie mogłem oprzeć się pokusie przyłączenia się do zdania panów, odnośnie do sprawy zabitego naszego rodaka.

Detektyw, domyślając się z wrodzonym sobie sprytem członków tajnego, anarchistycznego sprzysiężenia, udawał również jednego z nich — wtajemniczonego w najskrytsze cele towarzystwa.

I nie chybił celu.

— Skąd pan wiesz o istnieniu związku „Synów Shiwy“? — zapytał jeden ze spiskowców, podczas, gdy inni mierzyli nieznajomego nieufnie.

Holmes umiał wkraść się w ich zaufanie.

Teraz wiedział, jeżeli nie wszystko, to bardzo wiele. „Synowie Shiwy“ zwali się oni od ich boga Shiwy. Nie było najmniejszej wątpliwości, że motywem mordu były polityczne motywa.

Teraz rozchodziłoby się tylko o to, by zabójcę wyszukać i wydać w ręce sprawiedliwości! Najlepszy dowód zaufania łatwowiernych i zbrodniczych hindusów do przebiegłego detektywa był fakt, że zaproszono go na najbliższe posiedzenie „Związku Synów Shiwy“.

— — — — — — — — — — — —

Wieczorem, dnia tego, kiedy się miało zgromadzenie odbyć, szedł Szerlok Holmes wzdłuż ulicy Whitecheapel! Dążył pospiesznie do zapadłego kąta tego przedmieścia do pewnej willi, gdzie klub „Synów Shiwy“ obrał swą siedzibę.

Po przywitaniu się ze swoimi znajomymi i przedstawieniu go innym członkom klubu, zajął Szerlok Holmes wskazane mu miejsce w sali, gdzie właśnie miał przemowę agitacyjną redaktor gazety „Indian Sociologist“.

Stojący na trybunie mowca, był pięknym okazałym mężczyzną.

W jego oczach palił się fanatyzm, ciemne włosy i miękka, czarna broda, otaczały bladą, uduchowioną twarz. Smukłe delikatne ręce chwytały nerwowo za szklankę z wodą, to za książki leżące na pulcie, to znowu gwałtownymi giestami towarzyszyły płomiennej przemowie.

A on mówił, mówił bez wytchnienia i jak rwący górski strumień, płynęły słowa jego. Tematem był: „Ucisk Indyi pod angielskiem panowaniem“.

Po skończeniu wybuchnęło audytorium frenetycznemi oklaskami i okrzykami entuzyazmu.

— Precz z angielskiem panowaniem! — zabrzmiał okrzyk, jak z jednej piersi.

— Śmierć i zagłada gnębicielom biednej naszej Ojczyzny!

Wszyscy otoczyli mowcę, ściskając mu ręce i gratulując. Zapaleńsi porwali go na ramiona i z tryumfem obnosili po sali.

Znajomi studenci zbliżyli się do Szerloka.

— No, jak się panu podobał nasz przewodniczący? — pytali.

Holmes musiał przyznać szczerze, że zapał i wymowa redaktora uczzniły na nim silne wrażenie. Przez to wzbudził tem większe zaufanie w nie przeczuwających nic złego hindusach.

— Fanatyk! — rzekł jeden z nich, student indyjski z wyższych kursów.

— Podobnie jak nasz brat i towarzysz walki, zaginiony Karol Angra! — dodał drugi.

— Tylko z tą różnicą, że u naszego szanownego prezesa fanatyzm jest prawdziwy, gdy Angra zawsze go sztucznie w sobie wywoływał.

— Jak to pan zrozumiał? — zapytał Holmes z ciekawością.

— Karol Angra był namiętnym palaczem opium — objaśnił student. — On, jeden z najzdolniejszych i najpilniejszych studentów uniwersytetu, zabił się tem poprostu moralnie i fizycznie. Na trzeźwo nie byłby w stanie popełnić zabójstwa. Dyabli wiedzą, gdzie się teraz obraca i z czego żyje, gdyż jest zupełnie pozbawiony środków do życia.

— A w jakich lokalach on bywa! — mówił student młodszy. — W palarniach opium ostatniego rzędu. Jedną z takich nor była na przedmieściu Whitecheapel; trzymał ją pewien stary hindus. Często wyprowadzaliśmy go stamtąd przemocą niemal, ale zawsze do niej powracał.

— Czy bywa tam jeszcze? — zapytał Holmes. Hindusi zaprzeczyli.

— Pytaliśmy się już tam o niego. Ale właściciel objaśnił nas, że już od dłuższego czasu nie pokazywał się u niego.

— Czy to jaka znana spelunka? Jak się nazywa jej właściciel? — badał detektyw z wzrastającem wzruszeniem i ciekawością.

— Nazywa się Talmi — objaśnił student wyższych kursów obojętnie. — Jego ohydny lokal znajduje się na East Road w Whitecheapel!

Tyle chciał też wiedzieć słynny detektyw.

ROZDZIAŁ VIII.

W laboratorium.

— Mistrzu! tu jest jeszcze jedna gazeta, którą znaleźliśmy w pokoju indyjskiego studenta. Czy zbadamy ją może co do śladów rąk?

— Zaraz mój Harry! Najpierw chcę przeprowadzić tę próbę z humorystycznym poematem Ricarda Sacco!

Obydwaj detektywi znajdowali się w laboratorium, ubrani w długie płócienne kitle. Holmes mięszał rozmaite chemiczne przetwory w epruwetce, badał je pod światło, grzał przy lampce spirytusowej i znowu mięszał, dolewał aż wreszcie z zadowoleniem wzniósł w górę epruwetkę.

— All right! — zawołał do Taksona — podaj mi ten papier!

Następnie pędzelkiem rozprowadził ciecz po nim i wtedy ukazały się te same ślady palców jakie wówczas spostrzegł na laku opieczętowanej klatki szklannej głodomora.

— Jakież wnioski z tego wyciągamy mój kochany? – zapytał Holmes ucznia i nie czekając odpowiedzi mówił:

1) Że indyjski student i stary pewien drab wraz z trzecim nieznajomym człowiekiem – uprowadzili przyjaciela naszego Ricarda Sacco.

2) Że motywu zbrodni szukać trzeba w łajdackiej, nieszczęsnej konkurencyi.

3) Że motywem zamordowania indyjskiego urzędnika i lekarza, były względy politycznej natury.

4) Że polityczny Związek rewolucyjny z faktami temi nie ma nic wspólnego!

Wynika z tego, że zbrodniarze schronili się gdzieś w ukrytem miejscu, gdzie się zbierają rozmaite szumowiny społeczne. Stoją oni w luźnym zresztą stosunku do „Synów Shiwy", ale zajmują w ich hierarchii wyższe stanowiska, o których mało kto wie. Nie sądzę, żebym się mylił w tym wypadku! Są oni członkami staro-indyjskiej sekty, która morderstwo jako religijno-polityczne hasło wypisała na swym sztandarze i którzy dla tego staro-indyjskiem bóstwem składają w ludziach ofiary.

Jeżeli domysły moje są trafne — to życiu głodomora naszego zagraża poważne niebezpieczeństwo.

Ale teraz pójdź Harry! Musimy się przebrać i kontynować nasze śledztwo!

Obydwaj detektywi zrobili porządek w laboratorium, przebrali się do wyjścia i opuścili dom dom przy ulicy Bakeerstreet.

— Szczególniejsze! — mówił wielki detaktyw po dłuższem milczeniu — że pomimo wszelkich usiłowań, nie można dotychczas nic uczynić w sprawie głodomora! Kazałem strzedz policyi domu, w którym domyślaliśmy się, że ukryto pana Sacco.

I cóż był za rezultat? Wykryto tam szulernię, zaaresztowano mnóstwo ciemnych indywiduów, z których atoli żaden nie ma związku z uprowadzeniem Sacca i alibi swoje dostatecznie wykazał. Ale z obydwóch tych łotrów, których rozmowę podsłuchaliśmy pod oknem zaginął ślad. A szkoda!

— Nie ujdą nam mistrzu! – zauważył Takson – A czy ze śledztwa w sprawie zabójstwa Alfreda Hape jesteś więcej zadowolony?

Mistrz skinął głową.

— Bezwarunkowo — rzekł. — Zresztą czyn ten popełniono w anormalnym stanie, w sztucznem podnieceniu!

— Opium, albo coś podobnego?

— Tak jest! Masz słuszność. Zresztą poznasz tą norę zbrodni, gdyż zdążamy właśnie do zacnego pana Talmi i tam dowiemy się o bliższych szczegółach, dotyczących mordercy nieszczęśliwego pana Hape.

Weszli w ulicę, prowadzącą do palarni opium. Dwóch pstro ubranych armeńczyków przecho-

dziło przez kryte i wązkie uliczki wschodniej połaci Londynu. Mieli na sobie długie szaty, a na głowach czerwone turbany z niebieskimi chwostami. W ręku trzymali rozmaite przedmioty, jak dywany wschodnie, fajki i pięknie zdobione sztylety.

Zatrzymali się przed niskim domkiem obwieszonym dookoła jaskrawemi flagami. Nad bramą widniał napis w chińskim języku:

„SIÓDME NIEBO“.

Weszli do sieni przyozdobionej parasolami i wachlarzami. Zewsząd dochodziły ich nieprzytomne głosy gości, pogrążonych w śnie narkotycznym, od czasu do czasu odezwał się ostry krzyk, jakby waryata lub człowieka w konwulsyach pogrążonego.

Naprzeciw nich wyszedł stary indyanin odziany w długą powłóczystą szatę.

— Czy nie kupi pan fajek? — zapytał stary ormianin prezentując gospodarzowi całą piękną kollekcyę.

— Po czemu?

— To żaden pieniądz! Dwa szylingi za sztukę!

Czarnooki hindus zdawał się namyśleć. Tymczasem drugi armeńczyk, jakby nie naumyślnie, zaszedłszy go z tyłu, podłożył mu nogę, że zanim hindus mógł się połapać w sytuacyi — leżał jak długi na ziemi.

— Teraz prędko Harry! — rzekł starszy ormianin do młodszego, gdy ten ostatni skrępował go i skneblował mu usta — tu obok jest prywatny pokój Talmiego! Tam go zaniesiemy!

— Allright mistrzu!

Zanieśli właściciela palarni do pokoju, nie zwróciwszy niczyjej uwagi na siebie, gdyż „goście“ zakładu byli już w stadium kompletnego odurzenia opium.

Skrępowany poruszył jednem ramieniem, o ile niem mógł oczywiście i usiłował dać znak, że chce coś napisać.

Holmes zwolnił mu jedno ramię i podał kawałek papieru i ołówek.

Hindus napisał z wysiłkiem te słowa:

„Łaski! Nie zabijać biednego, nieszczęśliwego człowieka! Wyznam wszystko!“

Obydwaj detektywi zdumieli się. To było więcej niżby spodziewać się było można.

Hindus bojąc się o swe życie chcę wydać jakąś ważną tajemnicę! Jakie to wyznanie będzie? Czy należy on do tajnego związku „Synów Shiwy“? Czy może da objaśnienia o pobycie głodomora?

Detektyw zamknął ostrożnie drzwi od sieni, podczas gdy Harry zapuścił firanki w oknach.

Potem zwrócił się Holmes do drżącego hindusa.

— Będziesz miał życie darowane — rzekł Holmes — pod następującymi warunkami: Powiesz nam wszystko co wiesz — przedewszystkiem o „Synach Shiwy“ wogóle, w szczególności zaś o członku związku Karolu Angra!... Po trzecie, powiesz nam, co ci jest wiadomem o zniknięciu głodomora Sacco!

Wyciągnął z kieszeni rewolwer, trzymając go gotowym do strzału.

— Najmniejsze usiłowanie ucieczki lub wołanie o pomoc zapłacisz swem życiem! A teraz odpowiadaj na pytania!

— Czy jesteś członkiem związku „Synów Shiwy“?

Zaledwie dosłyszalne „tak“ było odpowiedzią.

— Kto jest Karol Angra?

— Jeden z najbardziej sfanatyzowanych zwolenników indyjskiej doktryny. Zresztą biedny, młody student, który dla zarobku produkował się nawet jako głodomór!

Detektyw gwizdał przez zęby i kiwał w zadowoleniu głową.

— Gdzie znajduje się jego konkurent, Ricardo Sacco? — badał dalej.

— W pośród synów Shiwy. Angra przyniósł go nam!

— A więc żyje jeszcze? — zawołali detektywi radosnym głosem prawie równocześnie.

— Dotychczas tak!... Ale w krótkim czasie zostanie ofiarowany!

— Ofiarowany?! — krzyknął Szerlok Holmes przerażony — Komu ma być ofiarowany?!

— Krwawej bogini imieniem Bhawani! — rzekł hindus uroczyście.

— Człowieku, czyś ty oszalał?! — wrzasnął Holmes, gdyż straszne podejrzenie zrodziło mu się w głowie, że związek polityczny „Synów Shiwy“ proteguje także zwyczaje graniczące z religijnym obłędem, a głodomór ma paść ich ofiarą!

Zwrócił się do drzwi.

— Prowadź nas do niego!

— Nie wiem, gdzie jest ukryty!

— Kłamiesz, psie podły! — zawołał Holmes, podnosząc do wysokości jego skroni rewolwer.

Wobec takiego argumentu daremny był opór.

— Nie można tak prędko! Podziemi tych sam nie znam i moi bracia są wszyscy uzbrojeni.

— Bądź spokojnym! Umiemy się bronić! — rzekł Holmes zimno wskazując na rewolwery.

— Nas jest tylko trzech — tłomaczył drżącym głosem hindus — a ich co najmniej dziesięć razy tyle.

Szerlok zamyślił się przez chwilę. Przeciwko takiej przemocy nic nie można było uczynić!

— Co czynić? — zapytał niepewny.

— Przebierzcie się w szaty inyjskich ludzi — mówił hindus — i pomażecie białe swe twarze na brunatny kolor, wtedy będę waszym przewodnikiem! O biada mi biada. Po trzykroć przeklęty ten dzień, w którym stałem się zdrajcą mych braci!

Wielkie łzy spłynęły po jego twarzy.

— Spiesz się! — rozkazał detektyw surowo. — W tym czasie jest może biedny Sacco na stos wiedziony!

— Jeszcze nie, panie! — uspokajał go hindus — dopiero w nocy ma być poświęcony krwawej bogini! Jeszcze możecie go ocalić, jeżeli posłuchacie skromnej mojej rady!

— Dawaj nam ubranie! — rozkazał Holmes.

Tysiące myśli przebiegały przez głowę detektywów.

Czy hindus nie kłamie, czy ma rzetelne zamiary, czy też chce tylko dać zwłokę swym braciom i czas do ratowania się? Czy pomoc nie nadejdzie zapóźno dla nieszczęsnego głodomora?!

Zwolniono więzy hindusowi, który niepewnym krokiem poszedł do szafy i wydobył dwa komplétne ubrania indyjskie i wraz z turbanami podał je Taksonowi. Z okna, gdzie stał cały szereg flaszek, wziął mały tygielek napełniony brunatną cieczą.

— Tem farbuje się wódkę! — rzekł — ale ta woda może wybornie także zmienić wasze twarze!

W krótkim czasie byli detektywi ucharakteryzowani i przebrani za najprawdziwszych Indyan.

— A teraz idź naprzód — rozkazał detektyw — a nie zapominaj, że masz za sobą dwoje czujnych oczu i dwa celne rewolwery. Strzeż się, by ci kula płuc nie przebiła!

Wązkimi, krętymi korytarzami zawiódł ich przed drzwi, które otworzył specyalnem kluczem. Strome, oślizłe schody prowadziły stąd na dół do piwnicy cuchnącej zgnilizną.

Z narażeniem własnego życia zaczęli schodzić na dół.

Gromady szczurów uwijały się koło nich, piszczały, gwizdały, a nawet gryzły skórę ich obuwia, gdy niebaczna noga nastąpiła na którego z nich.

— Dokąd nas prowadzisz?! — zawołał Szerlok Holmes z gniewem — ostrzegam cię przed fałszywą grą z nami!

— Droga niewygodna, ale prowadzi do celu! — odparł hindus.

Latarnia detektywa rozświecała ciemności tego podziemia.

Niedokładnie tylko rozróżniał w jej świetle zjawiającą się i niknącą co chwila zakwefioną postać jakąś.

Skręcili w korytarz na lewo. Znowu ukazała się im owa tajemnicza postać.

Wreszcie doszli do końca korytarza i ujrzeli wielką grotę oświeconą pochodniami, w blasku których ściany pokryte wiecznie rosą i wilgocią — lśniły jak kryształ.

Mnóstwo ludzi kręciło się tędy, inni klęczeli pogrążeni w modlitwie przed wielką kamienną figurą stojącą w środku groty. Była to kobieca postać na pół wilk, na pół człowiek z nogami zakończonemi szponami orła.

— Co to ma znaczyć? — zapytał Holmes swojego przewodnika.

— To jest Bhawani, bogini krwi! — brzmiała odpowiedź. — Ofiarujemy jej wszystko, co posiadamy, byle tylko uchroniła nas od wszeikich nieszczęść i naszej biednej ojczyźnie powróciła wreszcie wolność. Ale ona wymaga większych ofiar, ona chce krwi! I dzisiaj krew tę będzie miała!...

Szerlok rzucił okiem na dół jaskini.

Dookoła ołtarza strasznej bogini pląsali w zawrotnym tańcu ludzie w powłóczystych szatach i wyjąc dziko ranili się wzajemnie nożami, że aż krew spływała dookoła ołtarza i w zimnej atmosferze piwnicy parowała wyraźnie.

Szerlok Holmes odwrócił się ze wstrętem od tej sceny, schwycił hindusa za ramię i syknął groźnie:

— Prowadź nas natychmiast do głodomora, albo zginiesz na miejscu!

— Poszukamy go! — bąknął wystraszony hindus — musi już być prawdopodobnie na placu krwawych ofiar.

— Czy znasz drogę prowadzącą do płynącego strumienia pod ziemią? — zapytał detektyw, idąc za przewodnikiem. — Niedawno doszedłem tam podobną drogą, ale nie mogłem dalej —

— Chcę ją wam pokazać! — rzekł hindus pokornie.

— To jest podziemny wypływ wód — rzekł hindus — za tym skrętem znajduje się zakątek, w którym znachodził Angra nocleg, gdy był dachu pozbawiony. Być może, że znajduje się tam obecnie głodomór!

— Czy wiedział Angra o strasznym zamiarze względem głodomora?

— Tak jest, ale sprzeciwiał się temu! On sam nie wiedział, co ma potem począć z tym fantem! Gdyby był miał w swem ręku anglika, to z pewnością bez wahania byłby go poświęcił na ołtarz bogini krwi, gdyż Angra, zarówno jak my wszyscy nienawidzi waszej rasy.

Hindus zatrzymał się. Szerlok spojrzał na Taksona i szepnął mu:

— Trzymaj broń w pogotowiu!

Za chwilę stali nad olbrzymim cuchnącym basenem.

Nagle wydali obaj okrzyk radości.

Na stosie zeschłych liści leżał bez ruchu jakiś człowiek.

Holmes poświecił mu w twarz latarką.

Był to Ricardo Sacco!

— Czy nie żyje? — szepnął Harry ze strachem.

Holmes ukląkł, badając mu serce.

— Nie! śpi tylko! — rzekł, poruszywszy go za ramię.

— Prędzej, prędzej! Pójdź pan z nami! Wstawaj!

— Łatwo to powiedzieć — zaśmiał się głodomór — te łotry skrępowały mnie!

— A, tak! Można się było tego spodziewać!

Harry uwolnił go prędko z więzów. Pierwszy wyszedł z groty Holmes i zdziwiony obejrzał się wokoło.

— Hallo! poczciwy synu Indyi! — zawołał — pójdź i wyprowadź nas z tego przeklętego labiryntu!

Żadnej odpowiedzi; hindus znikł bez śladu.

Czy poszedł, by przestrzedz swych braci i naprowadzić ich na obcych?

Szli poszpiesznie ku wyjściu, mając po środku głodomora.

Gdy przechodzili obok groty, gdzie odbywało się ohydne nabożeństwo, nie ujrzeli już żywej duszy.

Pochodnie były zgaszone.

Gdy się znaleźli na górze, dowiedzieli się, że i gospodarz palarni opium znikł wraz z gośćmi.

Czy ze wszystkiem?... Nie!

Z tyłu wielkiej sali leżał na materacu, bez ruchu, blady jak trup jakiś człowiek.

Był to Karol Angra. Napróżno usiłował Szerlok Holmes ocucić go — Karol Angra nie żył. —

KONIEC.

Nr. 19 naszego Tygodnika zawiera między innemi sensacyjną powieść z przygód ***Szerloka Holmesa*** *p. t.* ***Morderstwo w haremie.***

OD REDAKCYI.

Od współpracownika naszego p. Kalasantego Majtyki otrzymujemy zawiadomienie, że nie był w możności nadesłać nam na czas swoich „Przestróg i uwag“. Pomimo pięknego częstochowskiego wiersza, w jaki ubrał swoją nową wymówkę — jesteśmy zmuszeni w tej drodze udzielić Sz. Współpracownikowi surowego upomnienia, by nadal nie lekceważył swych obowiązków — w przeciwnym razie podziękujemy za jego dotychczasową działalność publicystyczną w naszem Piśmie i skorzystamy z oferty p. Hijacynta Łapaja, c. k. emerytowanego tajnego ajenta policyjnego, który od dłuższego czasu naprzykrza nam się ze swem współpracownictwem.

Niech więc p. Majtyka nie naraża się lekkomyślnie na utratę kawałka chleba i nadsyła nam regularniej swoje „Przestrogi i uwagi“.

Odnośne pismo p. Majtyki brzmi jak następuje:

— „Kochana Redakcyo! Choć to nie jest miłem — Ale się wczoraj paskudnie upiłem — Nie jestem wstanie pióra trzymać w ręce — Ach! nikt pojęcia niema o mej męce! — Głowa mi cięży, drżą ręce i nogi — Nie mogę sklecić i jednej „Przestrogi!“ — Czekam łaskawej Waszej odpowiedzi — Prosząc o forszus, celem kupna śledzi — Niech to trudności u Was nie spotyka! — Ściskam Redakcyę... Wasz c. k. Majtyka.“

W kwestyi tak bezczelnie żądanego forszusu odsyłamy p. Majtykę do wszystkich dyabłów.

Redakcya „Szerloka Holmesa“.

NOWA SERYA LEKKICH POWIEŚCI.

OGRÓDEK AFRODYTY

Tom I. **PREVOST: DZIEWUSZKI**

Tom II. **THOMA: ALIMENTA KAROLKA**

CENA 1 KORONA.

Nakładem Księgarni St. Kavki w Krakowie.

WSZĘDZIE DO NABYCIA.

Tysiące Pań i Panów

używa światowo sławnej wody na **zabarwienie i porost włosów.** Woda ta jest wynalazkiem **prof. Dra Semka,** a była na wielu wystawach **odznaczona.** O jej **skuteczności** świadczy wielka ilość **listów pochwalnych.** Cena jednej próbnej flaszki **5 K,** większej **8 K.** Wysyła dyskretnie wraz z pouczeniem, **za zaliczką pocztową:**

F. Navrátil, Prostejow,

Petrská ul. 9.

15 POWIEŚCI z życia Czerwonskórych z ilustracyami za . . . **2 K 60 h**

1. Pierwszy pochód zemsty. 2. Walka o dolinę złota w górach Mglistych. 3. Sitting Bulla biały bizun. 4. Jeździec. 5. Tajemnica z nad rzeki Powder. 6. Demon. diańs wa. 7. Śmiertelna jazda naczelnego wodza. 8. Napad na fort Lincoln. 9. Niemyty Blok-haus. 10. Księżniczka widm skalistych itd.

wysyła opłatnie

Księgarnia antykwarska M. Prokesza

W KRAKOWIE, UL. SZEWSKA L. 17.

Za zaliczką o 45 h. drożej.

Szerlok Holmes

słynny ajent śledczy.

Tytuły nadzwyczaj zajmujących powieści:

Zbrodnia na Zamku Saavreda.
Śladami Houdiniego.
W królestwie Amora.
Grabież naszyjnika z pereł.
Córa Ewy.
Tajemnica Juiego Jitsu.
Zamek rozbójnikow pod Palermo.
Zbrodnia w Armii zbawienia.
Profesor Flaks, wielokrotny morderca.
Pościg w pustyni.

Cena każdej powieści w trójbarwnej okładce tylko

30 hal.

Do nabycia we wszystkich księgarniach, trafikach i biurach dzien.

Na żądanie wysyła wprost

powyższych 10 powieści za 3 K 30 h. franko. Za zaliczką o 45 hal. więcej.

Księgarnia antykw. M. PROKESZA

w Krakowie, ul. Szewska L. 17.

MAGAZYN GALANTERYJNY.



Skład Bielizny Kapeluszy, Obuwia amerykańskiego

Przyborów do podróży

ZDZISŁAW

ZDANOWICZ

KRAKÓW, ULICA SŁAWKOWSKA L. 3. HOTEL SASKI.

Wydawca: Aleksander Ripper. Redaktor odpowiedzialny: Tomasz Wróbel. Drukarnia A. Rippera w Krakowie

Wydawca: Aleksander Ripper. Odpowiedzialny redaktor: Tomasz Wróbel.

Drukarnia Aleksandra Rippera w Krakowie.